

Sebastian Uznański

# KSIĘZNICZKA Z KSIĘZYCOWEGO ZAMKU



**Sebastian Uznański**

# **Księżniczka z księżycowego zamku**

Copyright © by Sebastian Uznański  
All rights reserved

Redakcja: Katarzyna Derda  
Korekta: Katarzyna Derda i Paweł Dembowski  
Projekt okładki: Nina Makabresku  
Ilustracja na okładce: Frederic William Burton

ISBN 978-83-65074-53-9

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz  
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39  
02-495 Warszawa  
<http://www.bookrage.org>

# Część I

## Księżniczka z księżycowego zamku

### I

Gwałcił jej szyję spojrzeniem. Wzrok zachłannie, łapczywie przesuwiał się po alabastrowej krzywiźnie. Niemal czuł pod opuszkami palców miękką skórę, choć wiedział, że to tylko wyobraźnia ludzi zakończenia nerwowe. Chciałby kontrolować jej oddech tak samo, jak pragnął kontrolować jej życie. Do szału doprowadzała go myśl, że chwila, dla niego przesycona erotyzmem, dla niej była boleśnie zwyczajna.

Nosiła czarną suknię o skomplikowanym kroju, ciasno przylegającą do ciała. Na nadgarstkach dźwięczały srebrne bransoletki, sznur pereł opływał jej szyję, w kruczoczarnych włosach połyskiwał srebrzyście diadem. Czerń i srebro, jej kolory. Choć miała przecież prawo do czerni i szkarłatu, królewskich barw rodu de Virion. Zastanawiał się nad tym wyborem, podkreślającym zarazem jej przynależność, jak i odrębność od potężnych krewnych.

Zimny wiatr szarpnął połami jego płaszcza, pociągnął za sobą lśniące pasma jej długich włosów. Na odsłoniętych ramionach stojącej do niego tyłem kobiety pojawiła się gęsia skórka. Zrobiło się chłodno, blanki Tal Marion połyskiwały szronem.

— Zimno ci, Evalayn?

Odwróciła się, księżyc zamigotał srebrzystym światłem, odbijając się w jej ciemnych oczach.

— Zawsze, Kalladrionie — odparła dźwięcznie. — Łatwo przyzwyczać się, że na najwyższej wieży zamku Tel Kaladel wieją lodowate wichry. Trudniej, że najwyższa wieża skazana jest na samotność.

Spojrzał w dół, w mrok, gdzie w powietrzu wiły się podparte niepojętą, architektoniczną magią długie kamienne schody. Daleko niżej

srebrzyły się iglice pozostałych wież, przy Tal Marion blade niczym ubogie krewne. Skupione wokół niej przypominały bardziej kapłanki oddające hołd, niż strażniczki broniące dostępu. Jednak wróg musiałby zdobyć je wszystkie, inaczej czekałaby go wspinaczka — pod gęstym ostrzałem — po zawieszonych nad czarną pustką schodach. Kalladrion wielokrotnie przebył tę drogę, i nie chciał wierzyć, że ktokolwiek mógłby być tak szalony, by podjąć próbę w pełnej zbroi, wśród śmigających bełtów i miotanych przez katapulty pojemników z wrzącym olejem.

— Chyba wiem, o czym myślisz — przerwała ciszę.

— Czyżby?

— Tak, ponieważ cię znam. Zawsze martwisz się o bezpieczeństwo innych — sięgnęła ręką za plecy i zręcznie odpięła sznur pereł. — Nie potrafisz się o kogoś nie troszczyć, gdy ten ktoś mówi o bólu. Ale spójrz — jednym pociągnięciem rozciągnęła sznur i rozdzieliła lśniące kulki. Kalladrion wyczuł magię, kiedy odległości między klejnotami zaczęły się powiększać

— Jestem bezpieczna.

Schody pod nimi nagle rozdzieliły się — dokładnie tak, jak perły trzymane przez kobietę. Pokryte szronem stopnie odbijały srebrzysty blask miesiąca, jeszcze bardziej upodabniając się do klejnotów. Następnie zaczęły zanikać, jakby zapadły się w siebie, ale to tylko księżniczka obróciła sznurem, a schody posłusznie odwróciły się ku górze szarą bryłą skały.

— Nawet gdyby Tel Kaladel nie został wzniesiony na najwyższym wzniesieniu, nawet gdyby mury poniżej nie zostały obsadzone setkami gwardzistów mojego królewskiego ojca, a najzdolniejsi czarnoksiężnicy nie osłonili zamku nieprzeliczonymi barierami, to wierz mi; i tak byłabym bezpieczna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zagrozi córce rodu de Virion. Ale bezpieczna — nie znaczy szczęśliwa.

— Sądziłem, że młodsza córka króla ma wszystko.

— Młodsza córka króla nie ma niczego, co się naprawdę liczy.

— Widziałem para obsypanego złotem w karocy z najprzedniejszego drewna. Twarz, która mignęła mi w oknie pojazdu, była jak siny klejnot w barokowej oprawie.

Po chwili dodał z wahaniem:

— Zawsze dużo wymagałaś od siebie i od życia. Trudno jest sprostać twoim standardom. Może mogłabyś je obniżyć?

— Zostawiłbyś ją? — odpowiedziała pytaniem.

Uciekł spojrzeniem. Na to nie był przygotowany, nie na atak. A powinien — powinien, skoro pytał, najpierw znać pewne odpowiedzi. Inaczej pytanie było nadużyciem. Cisza przeciągnęła się o sekundę za długo. Uśmiechając się lekko, samymi ustami, ściągnęła z powrotem ku sobie perły i zapięła je na szyi. Schody poniżej bezszelestnie scaliły się w zawiły chodnik, a jej twarz przybrała wyraz uprzejmego zaciekawienia arystokratki.

— Jak wyprawa na północ? — zapytała.

— Mięso nie gnije, a trupy nie zachowują się jak przystoi zmarłym.

— Pierwsze rozumiem. Spadł śnieg, to i żywność dłużej zachowuje świeżość. Byłam tam dwa lata temu o tej porze roku, woda zamarza w pucharach. Drugiego nie pojmuję. Wyjaśnij proszę.

— Ludzie się psują zamiast mięsa, na skórze pojawiają się gnilne wykwity, organy wewnętrzne zaczynają cuchnąć.

— Robili sekcje?

— Byłam przy jednej.

Zmarszczyła z odrazy niewielki nosek, ozdobiony kilkoma piegami.

— Współczuję. Ale wciąż opowiadasz mi o żywych; może ciężko chorych, ale żywych.

— Najgorzej było, jak zaczęli po wszystkim sprzątać. Trup sam zsunął się ze stołu. Organy wewnętrzne miał już ułożone w słojach, ale nie szukał ich za bardzo. To znaczy, nie swoich. Rozdarł za to jednego z asystentów chirurga i zaczął sobie wkładać bebechy do otwartej jamy brzusznej.

— Rozdarł? — zdziwiła się uprzejmie. — Jak kartkę papieru?

— No dobrze: obalił na ziemię, przegryzł szyję i paznokciami wbił się głęboko w brzuch — Kalladrion skrzywił się z odrazy na samo wspomnienie. — Następnie szarpnął w przeciwne strony i wypłynęły flaki.

— Co zrobiliście?

— Siekaliśmy go mieczami na kawałki, aż przestał się ruszać. Co stało się dopiero po dłuższej chwili, dodam. Potem odsapnęliśmy trochę i zrobiliśmy to jeszcze raz z asystentem chirurga, bo — jakby to rzec... przygotowywał się do niezatwierdzonej operacji na chirurga.

— Ten wybebeszony?

— Ten sam.

— Co wtedy zrobiliście?

— Szczątki pierwszego spaliliśmy. Drugiego obserwowaliśmy. Stąd wiemy, że mięso się nie psuje. Człowiek tak, mięso nie.

— Zazwyczaj zdarza się odwrotnie — skinęła głową. — Ktoś kontroluje rozkład.

— Na północy przygotowują się do wojny.

Znów skinęła głową.

— Słyszałam, że mój szanowny ojciec wysłał trzydzieści tysięcy zbrojnych na pomoc lordom pogranicza. Wszystko z powodu niepsującego się mięsa.

— Im dalej od granicy, tym jest dziwniej. Umarli łączą się w grupy. W formacje. Ktoś gromadzi wojska. Więc my też gromadzimy.

— Co ty zamierzasz zrobić?

— Ja? Niewiele. Pojechałem, żeby rozpoznać zagrożenie. Zdam relację sąsiednim landom. Gdy północ poprosi nas o wsparcie, na pewno nie odmówimy. Ale wiesz, że nie szukam kłopotów.

— Aż nadto dobrze. — gwiazdy zamigotały w jej oczach. Nie był pewien, czy z niego nie drwi. — Tyle że mam przeczucie... Mówiłam ci już o moich przeczuciach? To intuicja de Virion, córki królów. Mam więc przeczucie, że gdy ty byłeś w podróży, kłopoty cię przegoniły i teraz czekają w rodzinnym zamku.

## II

Szpiczaste wieże zamku Askazaar z daleka odcinały się na tle ciemniejącego błękitu nieba. Słońce rozpałało pożogę na zachodzie i lizało promieniami masywne mury. Rycerze, dotąd drzemający w siodle, teraz zaczęli rozmawiać i dowcipkować. Ożywienie ludzi udzieliło się wierzchowcom — choć zmęczone, przyspieszyły bez ponaglenia. Wreszcie jesteście w domu, pomyślał Kalladrion, czując na widok wysokich wież rodowej siedziby znajome ciepło na sercu.

Wyłożony białym kamieniem gościniec wychynął spomiędzy wzgórz i rozwinął niby kobierzec na zielonej równinie. Wesołość w jednej chwili opuściła jeźdźców. Twarze stały się zacięte i ponure. Ten i ów sięgnął dłonią ku rękojeści miecza; niektórzy zdejmowali z pleców wielkie trójkątne tarcze ze złotym lwem na fioletowym tle. Przytroczone do łąków siodeł włócznie znalazły nagle drogę do dłoni.

Na przedpolu Askazaaru znajdował się rozłożony już wcześniej obóz. Nieduży, ogrodzony palisadą, na może trzydziestu ludzi. Pięć czarnych namiotów otaczało jeden ogromny, którego szczyt wieńczyła stalowa iglica z smoliście czarną flagą. Wiatr targał nią, odsłaniając prymitywnie narysowaną, ale przecież nie dającą się pomylić z niczym innym, białą ludzką czaszkę.

Kapitan Honzver, dowodzący orszakiem Kalladriona, dał swoim ludziom kilka dyskretnych znaków. Ci ścieśnili szyk, trójka z nich wysforowała się przed pochód, a konni łucznicy przygotowali strzały.

— Żadnych śladów oblężenia, wasza dostojność — powiedział oficer Kalladriona. — Ani innych wrogich formacji w pobliżu. Nie wygląda to na atak, raczej na...

— Poselstwo — skinął głową lord. — Tym niemniej, miejcie oczy i uszy otwarte, kapitanie. Niezbadane są możliwości martwej magii.

Jeżeli to dyplomaci, dlaczego obozują przed zamkiem? — myślał Kalladrion. I jakie kłopoty oznaczała dla niego ta wizyta? Bo że nie wyniknie z niej nic dobrego, tego już był pewien.

Konie zwolniły i szły stępą. Trakt przebiegał jakieś czterdzieści metrów od obozu, najeżonego topornie zaostrzonymi drewnianymi palikami.

Przed bramą stało dwóch ponad dwumetrowych, barczystych mężczyzn zakutych w zbroje z czarnej stali. Głowy zakrywały im potężne, rogate hełmy, a odziane w rękawice dłonie oparli na jelcach wbitych w ziemię długich dwuręcznych mieczy. Wydawali się bardziej podobni posągom niż istotom ludzkim. Gdy orszak zbliżył się jeszcze trochę, odwrócili powoli głowy, ukazując przybyłym krzyże na przodach hełmów; szczeliny mroku w czerni stali.

Od strony zamku zbliżał się obłok kurzu.

— Otwarto bramy Askazaaru — rzekł Honzver. — Zauważono nas i wyjechano na spotkanie.

\*

— Zostawiliście ambasadora na zewnątrz zamku? — Kalladrion usiadł w fotelu w bibliotece i gasił pragnienie źródlaną wodą z sokiem z leśnych malin.

— Sam tego pragnął — odparł Galain, jego zaufany doradca, pełniący na dworze funkcję szambelana. — Twierdził, że świeże powietrze służy jego zdrowiu. Prawdę mówiąc, wybawił nas z nieliczego kłopotu. Siła, której służy, nie jest formalnie państwem, więc niejako sam sobie nadał status dyplomaty. Z drugiej strony — Kalladrionie, wszyscy wiemy, po co pojechałeś na północ...

— Nie wolno lekceważyć potęgi nieumarłych... — skinął głową lord.

— Bez twojej decyzji obawialiśmy się wysłać mu zaproszenie na dwór. Nikt nie chce mieć uzdolnionego nekromanty wewnątrz murów, bogowie wiedzą jak długo, gdy w każdej chwili może wybuchnąć wojna. Bronią nekromantów częściej jest zły czar, trucizna, terror lub podstęp, niż oręż.

— Nie wolno lekceważyć potęgi nieumarłych... — zgodził się po raz drugi Kalladrion.

— Uskarżając się na zdrowie, wybawił nas z nieliczego kłopotu. Być może musielibyśmy mu odmówić, być może zgodzilibyśmy się, ale z warunkiem pozostawienia zbrojnej eskorty na zewnątrz.

— Teraz wyślijcie zaproszenie.

Szambelan przytaknął.

— Jeśli wolno mi coś powiedzieć...

— Mów śmiało, mój przyjacielu. Służyłeś memu ojcu radą z górami dwadzieścia lat, a teraz od czterech tylko dzięki tobie nie pogubiłem się we wszystkich zawiłościach rządzenia.



— Jesteś dla mnie zbyt łaskawy. Twój ojciec odszedł zbyt wcześnie. I zbyt nagle. Moim obowiązkiem — i jego życzeniem — było przekazać ci wszystko, czego on, ku swemu bólowi, nie zdążył. Natomiast jeżeli pozwolisz... Widzę, jak cię to martwi...

— Ziemie, którymi przyszło mi rządzić, nie są zbyt rozległe. Chodzi i o to, że... nie jesteśmy liczącym się graczem, jakby na to nie spojrzeć. Całe moje panowanie to pilnowanie, żeby było przestrzegane prawo, trakty przejezdne dla kupców, a podatki niezbyt uciążliwe. Wreszcie — dbam o to, żeby robiono zapasy w spichrzach na zimę, żeby pomóc poddanym w razie powodzi lub suszy. Przez wrogiem zewnętrznym broniło nas zbrojne ramię króla, jego wola — przed najazdem innych feudałów z rozległego królestwa Tallendoru. Nie wiem, czy mnie rozumiesz... Nie jestem nikim ważnym. Tylko opiekuję się moimi ludźmi, to wszystko. Chcę być porządnym, spokojnym człowiekiem; pragnąłbym, by mnie takim zapamiętano. Tymczasem teraz przyjdzie mi spotkać się z wysłannikiem samej śmierci.

— Rozumiem, panie. Byłem szambelanem twego ojca również w czasie wojen i mam niezbędne doświadczenie. Czy chcesz, bym ja poprowadził rozmowy?

— Chciałbym, by było to takie proste, mój przyjacielu — Kalladrion uśmiechnął się smutno. — Ale wiesz dobrze, że kiedy jest się władcą, od pewnych obowiązków nie ma ucieczki. Przyjąłem na siebie odpowiedzialność, nakładając insygnia lordowskie i to ja i tylko ja przyjmę konsekwencje trudnych decyzji, które muszą zostać podjęte w ciągu najbliższych kilku dni. Zresztą, odmawiając spotkania bądź okazałbym nieumarłym lekceważenie, bądź uznaliby to za oznakę słabości. A ja nie chcę ani ich drażnić, ani tym bardziej zapraszać na moje ziemie.

\*

Na jego widok tysiąc gwiazd rozbłysło w jej oczach. Biegiem ruszyła mu na spotkanie i padła w ramiona. Czuł przez materiał płaszcza ciepło jej ciała, radosne drżenie jej kruchej sylwetki. Musnął palcami wspaniałe, długie jasne włosy dziewczyny; wydały mu się tak rozkosznie aksamitne w dotyku. Pocałował ją czule na powitanie.

— Spodziewałam się ciebie wcześniej. Martwiłam się — powiedziała, gdy już nasycili się pocałunkami. Wciąż tuliła go w ramionach, jakby obawiając się, że gdy go puści, już nie zdoła zatrzymać.

— Sprawy na północy zajęły mi więcej czasu niż sądziłem, Sallande. Poza tym w drodze powrotnej jeden z koni zgubił podkowę. Przejeżdżaliśmy akurat opodal Tel Kaladel, i stwierdziłem, że to dobra okazja, by odwiedzić starą przyjaciółkę.

Rysy twarzy kobiety stężały, odsunęła się lekko. Gwiazdy w jej spojrzeniu zaczęły gasnąć jedna po drugiej.

— Evalayn — wymówiła to imię, jakby smakowała w ustach potrawę egzotyczną, ale niekoniecznie smaczną. — Co u niej słyhać?

— Samotna. Nieszczęśliwa.

— Uważaj na nią — nie patrzyła na niego. Spoglądała przez okno na rozpościerające się u stóp zamku zielone równiny. — Pięknie pachnie i jest słodka, ale jest to śmiertelnie niebezpieczna słodycz trucizny. Nie ufaj żadnemu jej słowu. Ta kobieta dobrze wie, czego chce. Nie przypadkiem to ród de Virion rządzi królestwem, w ich krwi bezwzględność miesza się z determinacją.

— Nie widziałaś jej. Wygląda jakby była...złamana.

— Uśpiona potęga. Obserwuje wszystko spod półprzymkniętych powiek, czekając na dogodną chwilę, by uderzyć.

— Teraz to ty dramatyzujesz. Samotna kobieta...

— Otoczona armią. Rezyduje w jednej z najbardziej ufortyfikowanych twierdz królestwa.

— Czasy teraz niespokojne.

— A ty martwisz się o nią... Podczas gdy to bramy twojego dworu nawiedził utalentowany nekromanta.

Milczał chwilę, układając w głowie odpowiednie słowa. Ona patrzyła na niego z ustami wykrzywionymi w ironicznym uśmiechu, jakby z każdą sekundą jego namysłu zwyciężała w bitwie, w której nade wszystko nie pragnęła wygrywać.

— Jestem pewien, że was zdołam obronić. A kto ochroni ją?

— Evalayn słaba i bezbronna... — prychnęła pogardliwie. — Tylko wtedy, gdy napisze sobie taką rolę do przedstawienia. Na Bogów, to panna z de Virion. Jej królewski ojciec zmobilizuje dziesięć miast, byleby tylko dać jej to, czego akurat zapragnie.

\*

Wykąpał się, ogolił i przebrał w luźne szaty w barwach Askazaaru; fioletowe sukno ze złocistym lwem stojącym na tylnych łapach. Następnie zjadł z Sallande sutą kolację. Po raczej niezbyt

wyrafinowanych racjach podróży, możliwość korzystania z potraw przyrządzonych przez najlepszych kucharzy Askazaaru była rozkoszą dla podniebienia. Gdy się posilił, pojawiło się znużenie. Jednak nim udał się na spoczynek, wyraził życzenie, by zobaczyć swego syna.

Udali się do komnaty dziecka, gdzie kryte baldachimem stało niewielkie łóżeczko. Sallande uniosła Kasselena na rękę i ułożyła sobie na przedramieniu, jak w kołysce.

Znużenie w oczach Kalladriona ustąpiło miejsca czułości, kiedy patrzył na to niewielkie ciało, tak ufnie przytulające się do piersi jego żony. Kobieta zaczęła nucić kołysankę:

Śpij, śpij spokojnie, dziecię światła  
Już niedługo został czas wypoczynku  
Jutro przyjdzie ci zadziwić świat swoją mocą  
Dziś przymknij oczęta i spokojnie śpij.

Ener, Eneri tal kaletu ladonn  
Deri vadul einen hakan  
Rodon kaless entire es mallwerion  
Sattum soli deber vi tal eneri

Kolejne zwrotki śpiewała już tylko w zwykłej mowie, rezygnując z pierwowzoru, ułożonego jeszcze w języku starożytnych:

Niech istoty mroku nie mają do ciebie dostępu  
I ciemność niech spłonie od twego spojrzenia  
Rośnij ukochany, zrodzony z miłości,  
By kiedyś zadziwić świat swoją dobrocią

Śpij, spokojnie śpij, dziecię światła  
Nie znajdzie się w tobie zła,  
Bezseną straż trzymają rodzice  
Jeszcze dzisiaj wolno ci spać.

\*

Miał mdłości. Kalladriona mdliło na myśl o czekającej go rozmowie z posłem. Wiedział ze słyszenia i z kronik, że wizyta nekromanty oznacza najpewniej wojnę, zarówno w wypadku odrzucenia propozycji jak i przyjęcia — zmieniała się tylko strona, z którą trzeba było się bić. Trupi władcy zawsze proponowali lokalnym sojusz, rozbijając w ten sposób przymierza przeciwników lub też zyskując dogodne, bezpieczne bazy wypadowe. Dlaczego wielmoże się na to zgadzali? Słabsi ratowali swój kraik przed unicestwieniem, zatrwożeni potęgą mrocznych lordów, a

silniejsi liczyli, że wsparci mroczną magią dojdą do wielkich zaszczytów, co niekiedy okazywało się prawdą.

A co miał zrobić Kalladrion? Czuł on, że na samą myśl o wojnie skręca mu się żołądek. Spojrzał w lustro. Szczupły, niezbyt umięśniony, ale przynajmniej wysoki. Nie miał sylwetki rycerza, nie była to też postura godna władcy. Makkariona, poprzedniego feudała rządzącego prowincją przed ojcem Kalladriona, przyrównywano często do skały. Był ogromną górą mięśni, dla której trzeba było sprowadzać specjalne wierzchowce, gdyż zwykłe konie nie mogły ruszyć z władcą w pełnej zbroi, a co dopiero mówić o szarzy. Jednak ktoś taki nadawał się do rządzenia w czasie wojny; ktoś taki potrafił zagrzać ludzi do walki, a potem poprowadzić ich do boju. Mówiło się o Makkarionie że raz, jadąc w pierwszym szeregu natarcia, w ciągu dziesięciu uderzeń serca położył swoim wielkim mieczem tuzin ciężkozbrojnych rycerzy. Tacy byli też lordowie z sąsiednich prowincji; silni jak tury, odważni, impulsywni, z temperamentem.

Antaris, ojciec Kalladriona, był szambelanem Makkariona. Zarządzał mądrze prowincją, podczas gdy władca wdawał się w jedną przygraniczną awanturę za drugą. Czasem chodziło o honor, czasem o pieniądze, a czasem o sprawiedliwość. Makkarion łatwo wyciągał broń z pochwy. Pewnego dnia powrócił z jednej takiej potyczki z paskudną raną, w którą wdało się zakażenie, doprowadzając w końcu do śmierci władcy. Jego jedyny syn zginął pół roku wcześniej, zasztyletowany podczas pijatyki w jednej z cieszących się złą sławą dzielnic stolicy.

Tak Antaris został lordem protektorem prowincji. Przez lata budował sieć wpływów i okazał się najlepszym kandydatem mimo znacznie rozrzedzonego błękitu we krwi. Ponadto możnowładcy Askazzaru byli już zmęczeni ciągłymi wojenkami; po pogrzebaniu Makkariona wysłano stosowne listy do stolicy, Sheged Arad. Król nie zgłaszał zastrzeżeń, na co mógł mieć wpływ fakt, że odkąd ojciec Kalladriona został szambelanem, dochody z podatków w tym rejonie zaczęły systematycznie rosnąć. Potrzebowano gospodarza, który ustabilizuje sytuację w rejonie, a nie kolejnej gorącej głowy. Moźni z sąsiednich prowincji uznali go niechętnie, nie śmiąc odmówić mu zasług, ale wytykali za plecami braki w szlachectwie i to, że nigdy nie brał udziału w turniejach. Ot, szlachciura wyniesiony ponad miarę, z nawykami zgoła nierycerskimi.

Antaris, niepowstrzymywany dłużej wydatkami wojennymi i nadzorem Makkariona, wkrótce doprowadził prowincję do rozkwitu. Awansując najlepszych ludzi — między innymi Galaina do stanowiska szambelana — wkrótce stworzył doskonałą kadrę urzędniczą, precyzyjne narzędzie, pozwalające skutecznie rządzić. Stał się idealnym protektorem czasów pokoju. Wojska utrzymywał nieliczne, dbając o ich wyszkolenie. W tych czasach prowincje osłaniał przed wrogiem zewnętrznym król — powagą swego majestatu i siłą niezwyciężonych oddziałów, a nowo wybrany do tej godności Hamodeneusz de Virion wkrótce zadbał, by i w konfliktach wewnętrznych odwoływano się nie do mieczy, ale królewskich sądów.

Antaris oszedł niespodziewanie, zostawiając u sterów stanowczo zbyt jeszcze niedoświadczonego Kalladriona. Mimo to już pierwsze lata rządów udowodniły, że syn stał się godnym następcą ojca, choć stało się to w dużej mierze dzięki mądrym radom byłych współpracowników Antarisa. I właśnie gdy zdawało się, że zaczynał sobie jako tako samodzielnie radzić, musiało wydarzyć się coś, do czego nie był absolutnie przygotowany i z czym zapewne nawet jego ojciec miałby problem. W osobie nekromanty wojna zapukała do bram Askazzaru.

Kalladrion, który nigdy nie widział bitwy, a politykę zagraniczną prowincji sprowadził do ratyfikacji umów handlowych miał wrażenie, że lud zatęskni jeszcze za Makkarionem, potrafiącym powalić tuzin chłopa w trakcie dziesięciu uderzeń serca.

### III

Lud, jak zawsze spragniony rozrywki i złąkniony nowego, wyległ na miejskie mury i kłębił się wzdłuż głównej ulicy; widzowie obsadzili każde okno i balkon. Pogoda dopisała, słońce prażyło mocno z samego szczytu błękitnego nieba. Trzeba było mrużyć oczy albo zasłonić je dłońmi, by dostrzec niezwykle orszak, przechodzący właśnie przez bramę.

Pierwszy jechał nekromanta — w czarnej zbroi, w ogromnym zamkniętym hełmie, osadzonym na barkach w specjalnych prowadnicach, pozwalającym właścicielowi na obrót głową — mechanizm ten umożliwiał osłonięcie zarówno głowy, jak i szyi. Wąska pozioma szczelina na wysokości oczu zasłonięta była płytką przypominającą ciemne szklivo, ale zapewne dużo bardziej wytrzymałą. Z ramion jeźdźca spływał niczym wodospad smoły płaszcz, na którym wyszyto fioletową nicią ledwie widoczne, tajemnicze znaki. U boku nekromanty przytroczony był miecz o rękojeści stylizowanej na skrzyżowane ludzkie kości.

Największe przerażenie budził jednak nie sam nekromanta, a jego wierzchowiec. Ośmionogi, ogromny pająk dorównujący wzrostem największym rumakom królestwa, a nawet je przerastający. Z drapieżną gracją przemieszczał się główną ulicą miasta, a ludzie przybyli, by zobaczyć niezwykle pochód cofali się, gwałtownie pobladli, do bocznych uliczek. Naostrzone pary szczypiec kołysały się złowrogo, zdolne zapewne przeciąć człowieka na pół. Żółtozielona ślina kapłała z żuwaczek, zostawiając na bruku obrzydliwe plamy. Niektórzy widzowie chyba spodziewali się, że płyn będzie syczeć i wypalać dziury w podłożu, bo po przejściu upiornego konduktu rzucali się, by zasypać lepką cieczą piaskiem i jak najszybciej pozbyć je z ulic. Nie był to oczywiście kwas, jak nie wiedzieć czemu zdawała się sądzić cześć tłuszczu, ani tak owianą złą sławą pajęcza trucizna, która znajdowała się w komorach jadowych. Mimo to wszystko, co kojarzyło się z ośmionogim potworem, mroziło krew w żyłach. Ludzie zamykali okna w kamienicach, byleby tylko nie słyszeć okropnego chrzęstu chityny.

Za nekromantą jechali parami wielcy, podobni posągom, zakuci w

czarną stal rycerze. Kopie postawili na sztorc, na proporcach łopotały flagi z szczerzącą się złowrogo czaszką. Przez krótki okres obozowania u stóp zamku narosły wokół nich legendy i Kalladrion przysłuchiwał się właśnie najbardziej prawdopodobnej z nich. Głosiła ona, że zbierające się trupie armie przyciągają także żywych, najczęściej wyjętych spod prawa bezwzględnych łotrów i szubrawców najgorszej maści, ludzi przeklętych i złych. Liczą oni na schronienie u nekromantów i możliwość realizowania swoich występnych żądy. Ale najpierw muszą przejść najbardziej brutalne szkolenie, jakie znała historia wojskowości; morderczy trening, eliminujący bezlitośnie zbyt słabych czy nie dość zdyscyplinowanych. Wielu z nich nie przeżywa do końca, ale w armii nieumarłych nie uważa się tego za problem, bo uczestnicy szkolenia zasila jej szeregi tak czy siak, jako chodzące trupy. Większość z pozostałych stworzy czworoboki elitarnej piechoty, a najlepsi, najczęściej dwumetrowej wysokości wojacy o ramionach twardych jak konary dębu, staną się niosącymi groźę czarnymi jeźdźcami.

Ponury orszak wpłynął na wewnętrzny dziedziniec jak zapowiedź nadchodzących, mrocznych wydarzeń.

\*

W stajni unosił się zapach końskiego potu i siana, wyścielającego podłogę pomieszczenia. Kobieta machinalnie przejechała palcami po gładkiej sierści zwierzęcia. Askazaar łaknął wiadomości, gońcy wpadali więc w bramy miasta tylko na kilka chwil, koniecznych by zdać raport i zmienić konie.

Pod ścianą, na półkach i stojakach ułożono siodła i fioletowo-złote czapraki. Kobieta przeszła do następnego boksu. Budzący lęk samym rozmiarem kolos trącił ją przyjaźnie łbem. Wytrzymała z kieszeni kostkę cukru i przez chwilę patrzyła, jak zwierzę łapczywie połyka smakołyk. Potem przyjrzała się uważnie całemu stworzeniu. Wplotła palce w grzywę, a rumak zarżał cicho, zadowolony z pieczyoty.

— Lady Sallande?

W ostatniej chwili powstrzymała krzyk.

— O, to ty, Honzver. Przestraszyłeś mnie. Co tu robisz?

— Sprawdzam, czy wierzchowce zostały wczoraj dobrze oporzędzone po podróży. Wróciliśmy późno, a chłopcy stajenni mają zwyczaj się lenić wieczorami. Dobry dowódca dba zarówno o swoich ludzi, jak i konie.

— To samo można powiedzieć o władcy, bo ja również w tym celu tutaj przyszedłam — uśmiechnęła się z nadzieją, że wygląda to swobodnie. Co ja robię, myślała wściekła, przecież nie muszę się przed nim tłumaczyć.

Przeszła koło niego zbyt szybko. Niemal wymknęła się ze stajni. Czuła, że policzki jej płoną. Miała tylko nadzieję, że w półmroku kapitan nie zauważył, jak się zaczerwieniła, upokorzona niepotrzebnym kłamstwem.

Ja, Sallande de Loray, pani na zamku Askazaar, zachowuję się jak mała dziewczynka złapana na gorącym uczynku. Niepotrzebnie tutaj zeszedłam. Pozwalam, by moje własne myśli przyprawiły mnie o szaleństwo. Muszę zachować trochę rozsądku. I tyle samo godności.

\*

Skóra nekromanty była cienka, niemal przezroczysta, o niezdrowym bladozielonym odcieniu. Pod nią wiły się fioletowe sznury żył i blade przebarwienia w miejscach, gdzie jej powierzchnia stykała się bezpośrednio z kośćmi. Gdy ruszał dłonią, widać było każdy paliczek, jakby tkanka kostna lśniła lekko własnym światłem. Twarz przypominała raczej maskę, a widoczna pod nią czaszka przerażała. Zwłaszcza, kiedy trupi mag mówił: wówczas ruchy zuchwy sprawiały upiorne wrażenie. Ukrywał nienaturalną chudość, nosząc obszerne czarne szaty ze srebrnym podszyciem, wyhaftowane wijącymi się fioletowymi ornamentami. Strój ozdabiał obszerny, również bogato haftowany kołnierz i naramienniki (poszerzające właściciela w ramionach) oraz zestaw podwójnych szali, które ciągnęły się podczas każdego ruchu niby wstęgi.

Teraz stał przy regale z książkami, trzymając w kościstych dłoniach kieliszek czerwonego wina. Gdy podnosił go do ust, przypominał raczej upiора pijącego krew. Wodniste, rybnie oczy dostrzegły wchodzącego do biblioteki Kalladriona.

— Mistrz Kahezaar vel'Serash, do usług — odezwał się szeleszczącym głosem. Bezbarwna skóra odsłaniała zęby aż po korzenie; wyglądały jak stojący w równym rzędzie żółci żołnierze, osłonięci z dwóch stron bladofioletową wstęgą warg. — Dziękuję lordzie, że znalazłeś dla mnie czas i zgodziłeś się na prywatną audiencję. Doceniam niezwykle zaszczyt, jaki stał się moim udziałem.

— Witam cię, ambasadorze vel'Serash. Usiądźmy może — wskazał



dłonią dwa czerwone fotele, przedzielone dębowym stołem, na którym stała karafka z winem. Poszedł przodem, trupi mag zaraz za nim, przesuając się po podłodze niczym figura szachowa.

Usiedli.

— Chciałeś się ze mną widzieć w ważnej sprawie, ambasadorze.

Nekromanta odchylił głowę i wypił kolejne dwa łyki. Przez cienką skórę widać było, jak rubinowy płyn spływa wzdłuż przełyku. Postawił kielich na blacie.

— Zauważyłeś zapewne panie, że w ostatnim czasie... cienie się wydłużyły. Wkrótce się połączą i zapanuje wieczny mrok. Taka jest kolej rzeczy, najpierw słońce wschodzi, potem gaśnie na zachodzie. Nadciąga noc, a wraz z nią zmiana dla wszystkich istot na tym świecie. Można głośno krzyknąć, że się z tym nie zgadzamy, ale tak robią dzieci, gdy dorośli każą im zbierać zabawki i kłaść się do snu. Można też nauczyć się żyć w wiecznym mroku.

— Słyszałem, że kilka trupów chodzi po śniegach północy. Może i tam rzucają cienie.

— Północ. Ciekawa kraina. Żeglowałeś panie po tamtejszych morzach? Widzę z twej twarzy, że nie, i rzeczywiście nie polecam ci tej rozrywki. Są bardzo niegościnnie, woda jest ciemna, ma się wrażenie, jakby okręty płynęły przez noc samą. Wy, żywi, wolicie oceany południa, gdzie dziób statku nurza się w szmaragdowych falach. Nie znacie tam takich zagrożeń, jak góra lodowa. Nad powierzchnią to niepozorny pagórek, skrzący się w świetle gwiazd, ale prawdziwa potęga czai się w głębinach. Te kilka trupów, o których raczyłeś w swej łaskawości wspomnieć, to ledwie odległy skutek faktu, że najpotężniejszy czarnoksiężnik świata umarł i powstał jako arcyłisz.

Zdawało się, że w komnacie stało się nagle ciemniej, gdy ambasador wypowiedział ostatnie słowa. Płomyki świec zadrżały i zbladły, kurcząc się niczym więdnące kwiaty, ich ogień stał się chybotliwy, jakby knoty zostały nagle podcięte. Zimny prąd przeszedł przez ciało Kalladriona. W dzieciństwie czytał przekazy historyczne, ale traktował kroniki jako bardziej okrutne bajki. Królestwa upadały i imperia obracały w proch, gdy na arenę historii wkraczał lisz.

— Twój pan będzie ścigany na całym świecie. Nikt nie udzieli mu schronienia.

Słabo zabrzmiały te słowa w pustej sali. Zdawało się, że odbiły się

od ścian i zdryfowały gdzieś, zagubione. Nekromanta siedział nieruchomo niczym spiżowy posąg.

— Ależ mój pan nie potrzebuje schronienia. Odwrotnie, jest w stanie dać ochronę innym. Koła dziejów pchają świat w mrok; mój pan oferuje wybranym siebie jako przewodnika. Wy widzicie chodzące trupy... Bądź pewien, że to jest tylko czerwony poblask na brzuchach chmur. Odległy sygnał tego, że gdzieś w okolicy szaleje potężny pożar. Cienie kłębią się na rozkaz Dageratha Val Kaldola, powstają z nich istoty tak mroczne i złe, że nawet nie dasz rady sobie ich wyobrazić. Chcesz powiedzieć „nie”, moźny lordzie, bo wychowano cię w wierności królom. Ale co ci królowie uczynili dla ciebie? Pragniesz odprawić mnie z niczym, mądry władco, gdyż utwierdzano cię w wierze w wartość życia. Ale co tak naprawdę masz z tego życia, które tak wielbisz? I czy jesteś rzeczywiście szczęśliwy?

— Lisz i śmierć. One są lepsze?

— Lisz może wszystko. A śmierć... Ona jedna cię nie zawiedzie. Życie to pasmo rozczarowań. Ciągła walka — a ja proponuję odpoczynek. Wieczny pokój. Zresztą taki jesteś pewien, że żyjesz, wielki lordzie? Wstajesz, wykonujesz podobne czynności dzień w dzień, kładziesz się spać. Możesz ty już jesteś nasz?

— Są chwile...

— Chwile?! — nekromanta przerwał bezceremonialnie. — Ty mówisz o chwilach, gdy my rozmawiamy o wieczności. Jeżeli ci tylko o moment chodzi, raz na jakiś czas, to już dobiliśmy targu. Mój pan nie jest drobiazgowy, wybaczają drobne słabości.

— Jesteście złem.

— Tak dobrze nas znasz, lordzie? A może tak słabo znasz siebie? Umarli są jak puste tykwy. Niezdolni do moralnych wyborów bardziej nawet niż drzewo, bo roślina jest zdolna chociażby do wzrostu i rozmnażania, posiada przedinstynkt fototaksji. Trupy chodzące po śniegach północy są jak przedmioty. Rozejrzyj się wokół. Patrz uważnie. Dostrzeżesz, że zło jest domeną przede wszystkim ludzi. Staliście się w tym mistrzami, nie do prześcignięcia przez najbardziej dzikie bestie.

— Też jesteś człowiekiem.

— Brak mi wielkich mocy mego pana, by przejść na drugą stronę — odparł nekromanta ze smutkiem. — Ubolewam nad tą drobną skazą w mej istocie. Patrząc na kawalkady trupów, przechodzące pod Dar

Magoth, upiorną fortecą Dargaretha Val Kaldola, zazdroścę mojemu stworzeniu, gdyż jest doskonalsze ode mnie. Mną wstrząsają wątpliwości. W naturę wpisane mam niespełnienie. Pracuję nas sobą dzień i noc, ale wiem, że nie osiągnę zimnego spokoju bijącego z ich mrocznych oczu. A ty, lordzie, czy w twojej duszy panuje spokój?

Przenikliwe spojrzenie trupiego maga świdrowało Kalladriona.

— Sądziłem, że będziemy rozmawiać o ruchach wojsk, sojuszach, bądź wojnach... — odparł powoli lord.

— Wierz mi, wasza dostojność, że walka w duszy należy do najbardziej pustoszących. Przymierza zwykłem zawierać z tymi, którzy są wielcy duchem, nie ilością mieczy. Nauczyła mnie tego mroczna sztuka. Jedna potężna istota jest w stanie zalać całe równiny kościanym wojskiem, a niegnijące mięso będzie się przelewać na podobieństwo morza.

— Czego zatem ode mnie chcesz?

— Przyłącz się do mojego pana, a staniesz się potężny niczym bóg. Albo przepadnij.

— Na terenie moich ziem nie stoi ani jeden trupi legion. Moi zwiadowcy przeczesują teren do trzech dni drogi konno od granicy. A ty grozisz zagładą? Nawet lordowie północy nie boją się twego pana, pewni własnych sił i ochronnej tarczy, jaką obiecał im zapewnić król.

Przybysz uśmiechnął się po raz pierwszy, szeroko, z szyderstwem przemieszanym z tryumfem, a jego zęby poruszyły się na podobieństwo wypełzających spod warg żółtych robaków.

— Północ, mówisz, wasza dostojność. Północ już nie istnieje.

## IV

Mężczyzna był spocony i brudny; jego niegdyś barwny płaszcz, teraz uwalany błotem, wyglądał jak kawał starej szmaty. Ubrania pokrywał pył z drogi, napierśnik znaczyły liczne rysy i wklęsnięcia, z oficerskiego pióropusza sfatygowanego hełmu zwisało jedno smętne piórko. Mimo zmęczenia, raport, który składał, był spójny i dokładny:

— Do bitwy podeszliśmy wedle wszelkich reguł sztuki. Ustawiliśmy naszą ciężką piechotę na wzgórzu; zaliczały się do niej solidnie opancerzone, zbrojne w piki i długie włócznie szeregi ludzi należących do trzech najważniejszych lordów oraz oddziały królewskie. Za nimi znajdowały się stanowiska łuczników i baterie katapult Skrzydła osłaniały doborowe chorągwie jazdy, złożone z ciężkich kopijników. Wreszcie odwody, zabrane jak sądzono właściwie zupełnie niepotrzebnie, na które składała się głównie lekka piechota oraz formacje przysłane przez sprzymierzonych feudałów... Zabrano je bardziej ze względów dyplomatycznych. I tak całą robotę miały wykonać wspomniane oddziały trzech lordów i wojsk królewskich.

Posłańcowi pozwolono siedzieć. Po trwającej kilka dni podróży na złamanie karku była to naturalna uprzejmość. Teraz uniósł kielich i zaczerpnął ze stojącej przed nim kryształowej karafki, po czym przepłukał usta zimną wodą. Znajdujący się w sali dostojnicy czekali w milczeniu. Kalladrion, opierając łokieć na stole, powoli przesuwiał palcami po podbródku.

— Pojawili się ze wschodu, kłębiąc się niczym popielata szarańcza. Wielka masa ludzi. Nie tworzyli żadnego szyku, formacji, niczego takiego. Wręcz przeciwnie, ciągle jeden zachodził drugiemu drogę, trącali się i uderzali o siebie, nie przewracając tylko dlatego, że był za duży ścisk. Uzbrojenie... O czym ja w ogóle mówię. Każdy z nich przyniósł co mógł, siekiere, motykę, nawet sękaty kij wyniesiony z lasu. Jak który dzierżył miecz, to przerdzewiały, o tak tępym brzeszczocie, że nawet nie przekroiłby ziemniaka. Ale więcej było takich, co nie mieli ręki albo dwóch, lub też brakowało im kawałka nogi. I oni tylko szli, niczym leniwy przybój szturmujący klif, na którym osadzono doborowe wojska królestwa. Ci z urwanymi kawałkami nóg... co to był za widok! Kuleli,

opierając się na postrzępionych kikutach, jakby to były drewniane protezy. Owionął nas niewyobrażalny smród, jakbyśmy się nagle znaleźli w dole z padliną i doszedł nas dźwięk wydawany przez te nieludzkie stwory, biorący się z samych trzewi, jakby cierpieli wieczne nudności, gotowi lada moment zwrócić treść żołądka. Tedy zaryczały jak żywe zwierzęta onagery, zagrzmiały skorpiony; łucznicy z jękiem tysięcy cięciw wypuścili chmarę strzał. Gdy przelatywały nad naszymi głowami, brzęczały niczym roje os. Pierwsze szeregi nieprzyjaciół wkrótce wyglądały niczym wielkie jeże. Ale szli dalej, chyba ze dwóch upadło, tak żem widział. Jedynie głązy miotane przez maszyny bojowe miażdżyły niektórych z nacierających i ci już nie wstawali. Byli coraz bliżej, mozolnie pili się pod górę, widziałem sine mięso wyłaniające się z pofałdowanych ran o poczerniałych brzegach. Dałem znak ostatnim szeregom, żeby zaczęli miotać oszczepy. Wreszcie masa trupów zderzyła się z kolczastą linią włóczni. Spodziewaliśmy się, że martwi odbiją się od nas jak od muru. Na bogów, przecież bywało, że uzbrojona obronnie piechota z końcami pik osadzonymi solidnie w ziemi wytrzymywała szarżę ciężkiej jazdy. Tymczasem oni nie unikali ostrzy, przeciwnie, nabijali się jeden po drugim, zwisając bezwładnie, aż drzewce ugiwały się ku ziemi. Albo gorzej, sam widziałem, jak nabici niczym owady na szpilkę, chwyтали się obiema rękami za drzewce i zaczynali miarowo przeciągać po włóczni, zostawiając na drewnie brunatny ślad z kawałkami tkanek. Przesuwali się tak aż do trzymającego broń żołnierza, mięsne paciorki nanizane na łańcuch. Dusili go potem albo wydłubywali oczy, wreszcie zsuwali się od drugiej strony drzewca i szli dalej, jakby nigdy nic, tylko dziura w brzuchu świadczyła, że cokolwiek się stało. Zalali nas jak brudna fala, a pióra lotek, którymi byli upstrzeni, wyglądały niczym piana na jej grzbiecie. Zaczęliśmy się cofać, ale nie pozwoliliśmy, by natarcie zmyło nas ze wzgórza, jeszcze nie, nie wtedy. Śmierdziało jak w kompostowniku, jak w niemytej miesiąc rzeźni, ale wyjąłem miecz i odrąbywałem każdą dłoń, która próbowała mnie dosięgnąć. Cofaliśmy się krok po kroku i wielu z nas padło, ale byliśmy najlepszą piechotą północy. Słyszeliśmy już galop konnicy oskrzydłającej nieprzyjaciela, lada chwila mającą się w niego wbić jak metalowe kliny. Za nami wciąż śpiewały cięciwy łuków; ziemia trzęsła się od uderzeń machin miotających. Wystarczyło utrzymać się jeszcze chwilę.

Rycerz urwał. Zawiesił niewidzące spojrzenie gdzieś w powietrzu,

jakby wciąż widząc grozę tamtej bitwy.

— Tego, co działo się dalej sam nie widziałem, ale z tego co mi opowiadano... Za tylnymi szeregami truposzy płynął ciemnozielony dym, który wkrótce rozpostarł się wszędzie niby zgniły dywan. Podobno konie wpadały w panikę, zbliżając się do trupów, szarża po jednej stronie zupełnie się załamała. Wierzchowce zaczęły wierzgać, zawracać, wiele rozbiegło się na boki, parę przewróciło się wraz z jeźdźcami. Niewielka odnoga morza trupów oddzieliła się od całości i dopełniła pogromu. Na drugiej flance naszym szło lepiej, nadziewaliśmy truposzy na kopie niczym na szaszłyki, udało się wbić się głęboko w szeregi nieprzyjaciela. Ale kopie trzeba było porzucić, bo nabici zaczęli się po nich wspinać ku jeźdźcom, klin ugrzązł, rycerze w zwartym szyku osłaniali się tarczami i cięli mieczami po sięgających ku nim potworom. A nikt wśród nieumarłych nie uciekł, nie cofnął się, jak zwykle dzieje się, gdy ludzkie wojska stają w obliczu szarży ciężkiej jazdy. Ale nie było jeszcze źle, nasi nosili ciężkie zbroje i wielkie, trójkątne tarcze, wydawało się, że umarlaki nie są w stanie uczynić im krzywdy. — Dłoń mężczyzny zacisnęła się nagle kurczowo. Na twarzy pojawiła się udręka.

— A potem tamci zaczęli zjadać konie.

\*

— Wierzchowce broniły się jak oszalałe. Stawały dęba, kopały, gdzie popadnie. Wielu truposzy odpadło ze zmiażdżoną szczęką lub śladem kopyta w miejscu twarzy. Dzielne konie, gryzione po brzuchach, rozszarpywane pazurami, kwiczały w okropnym cierpieniu, ale wciąż walczyły. Niektórzy z tamtych trzymali się kurczowo sierści i wżerali aż do wnętrzości. Próbowali wpełzać do wewnątrz jeszcze żyjącego, wierzgającego rumaka niczym do jakiejś mięsnej maszyny. Szyk się zburzył, jeźdźcy padli wraz z końmi, zapanował chaos. Pojedynczy rycerze nie zdołali osłonić się przed atakami, dziesiątki rąk ściągały ich z sodeł. To był koniec, nikt stamtąd nie wyszedł żywy, klin stopniał, jakby zrobiono go z rzuconego na patelnię masła.

Słuchacze pobledli, jak pokryci zniecka kredowym pyłem.

— Tymczasem na wzgórzu się jeszcze trzymaliśmy. Nie było łatwo, ale nosiliśmy solidne ciężkie zbroje, głowy osłaniały nam hełmy, niestety bez osłony na twarz. Tamci używali głównie pazurów i zębów — jak mówiłem, nie wyposażono ich zbyt w broń, a ci, którzy coś tam nieśli, nie za bardzo wiedzieli, co z tym zrobić. Macali mechanicznie mieczami

przed sobą, jakby to były kije. Kijami próbowali dźgać. Zęby kruszyły się na napierśnikach, pazury łamały bądź ześlizgiwały po wypolerowanej powierzchni broi. Tyle że nie potrafiliśmy ich skutecznie likwidować. Najlepiej, jak któremu odcięto głowę, bo nawet bez obu rąk potrafili się miotać i uderzać korpusem jak taranem.

— Natomiast gdy odcięto głowę...?

— Najczęściej, to już nie wstawał. Aczkolwiek, wasza dostojność, w zgiełku walki nie mogę mieć pewności, chwilę potem byłem już w innym miejscu, a i nawet jakby powstał i mnie zaatakował, to czy w ferworze bitwy rozpoznałbym, że ten sam, uczciwie mówiąc nie wiem. Nieustannie naprzeciw mnie ruszały dziesiątki śmierdzących potworów, u niektórych rozkład uczynił rysy twarzy nierozpoznawalnymi.

— Ale takiego bez głowy byś zauważył?

— Prawda, panie... — stropił się rycerz. — Czyli jak tylko te potwory nie potrafią złączyć na powrót czaszki z karkiem, to pewnikiem nie wstaną.

— Kontynuuj — zezwolił władca. — Co było dalej? Trzymaliście się na wzgórzu, nawet bez ciężkiej konnicy nadal posiadaliście lekką jazdę, rząd machin, łuczników, a wreszcie wypoczęte, liczne odwody.

— Pierwszy strach nam minął, prawdę mówiąc. Od pewnego momentu patrzyliśmy na truposzy jak na coś bardziej obrzydliwego niż przerażającego. Nasze miecze kroily ich ciała jak każde inne, tyle tylko, że trzeba było więcej razy uderzyć. Wtedy właśnie zgniłozielony dym wspiął się na wzgórze. Ludzie zaczęli kaszleć, wreszcie wymiotować albo zwijać się na ziemi w konwulsjach. My się jakoś trzymaliśmy, formując w jakim takim szyku odwrót przed zabójczą mgłą, ale jedno skrzydło poszło całkiem w rozsypkę.

— Zapewne skrzydło od strony załamanej szarży konnicy?

— Dokładne to samo, tak było jakby wasza wysokość widział wszystko na własne oczy — rycerz popatrzył ze zdziwieniem. — Właściwie to wtedy skończyła się bitwa. Groziło nam okrążenie od lewej flanki, fale chodzących trupów zdawały się nie mieć końca, wokół padali od dymu nieprzytomni lub martwi ludzie... nawet najlepszy rycerz się podda. Po prostu uciekliśmy.

Oficer nerwowo obracał w palcach kielich.

— Oni są raczej wolni. Trupy. To jedyna rzecz, która niesie pocieszenie podczas walki. Zawsze można im uciec. Oczywiście

zostawiliśmy maszyny, wielu uciekinierów w panice porzuciło piki czy włócznie. Ale z grubsza biorąc, odwrót, gdy już raz dano hasło... obył się bez większych strat. Gorsza była noc. Odeszliśmy na bezpieczną odległość, założyliśmy naprędce obóz, otoczony palisadą. Rany, nawet te drobne, goiły się bardzo źle. Te poważne groziły gangreną. Ci, którzy zostali narażeni na kontakt ze zgniłozielonym oparem, skarżyli się na drętwienia twarzy i kończyn, drżały im dłonie. Wielu rzygało jak koty. Pozostali po prostu się bali. Na dodatek, i to się czuło wszędzie, sami nasi dowódcy nie wiedzieli, co w tej sytuacji robić. Gdy jest trzech lordów pretendujących do tytułu głównego dowodzącego, i na dodatek generał korpusu królewskiego odpowiada tylko przed Sheged Arad, łatwo o chaos. A potem nastąpiła godzina przed świtem, dowiedzieliśmy się wtedy, że trupy się nie męczą i po wyczerpującej bitwie mogą iść całą noc. Odległość nie była bezpieczna, a obóz, cóż... nie był zabezpieczony odpowiednio. Po prostu przetoczyli się przez umocnienia. Wyrznęli nas, zanim wzeszło słońce. Ocalały tylko lekkie formacje, słabo wyposażone, z różnym doświadczeniem... Zaskoczone nie miały szans. Większość po prostu uciekła. Gdyby wtedy trupy nas okrążyły... Zmasakrowaliby nas. A tak, to tylko nas rozbili. Jestem przekonany, że wielu wojowników będzie przez najbliższy tydzień uciekać przed siebie, zanim zdecydują się na odpoczynek. Nie ma już armii trzech lordów. Zostały niedobitki konnicy, parę setek piechoty, garstka łuczników... Wszystko to dzielone na trzy, bo każdy feudał ukrył się we własnym zamku. Jest korpus królewski, a raczej jego resztki; liże rany, wycofując się tak, by blokować nieumarłym drogi w kierunku centrum kraju.

\*

— Na pewno podjęliśmy właściwą decyzję?

Leżeli obok siebie przytuleni, pościel przesiąkła zapachem niedawno uprawionej miłości, ciała jeszcze parowały seksem. Kalladrion objął ciaśniej kobietę, czuł jak jej pełne piersi dotykają jego torsu.

Sallande odgarnęła wilgotny kosmyk z czoła i odpowiedziała, nie unosząc głowy:

— Sądziłam, że uda mi się odgonić od ciebie wszystkie smutki.

— Udało ci się. Na moment. Ale teraz one wszystkie wróciły.

— Więc dobrze, porozmawiajmy o tym raz jeszcze, choć moglibyśmy leżeć i pozwalać, by rozkosz powoli odpływała z naszych mięśni. Przyłączyć się do lisza nie możemy, nie tylko dlatego, że ta myśl



budzi u nas obojga identyczne dreszcze.

— Kategorie estetyczne, nawet jeżeli zalicza się do nich obrzydliwość, nie mogą być wyznacznikiem skutecznej polityki — potwierdził lord. — Król nie wybacza zdrady i jeżeli kiedykolwiek pokona Dageratha, co wydaje się prawdopodobne, bylibyśmy w nielichych kłopotach. Mamy do wyboru ucieczkę, która oznacza dołę wygnańców i utratę całej z trudem zdobytej pozycji naszego rodu. Oznacza też, że pozostawię własnemu losowi tych wszystkich, którzy mi zaufali. Z drugiej zaś strony jest walka, która z kolei może skończyć się tym, że poprowadzę tych, którzy mi powierzą swój los, na śmierć.

— Oboje zgodziliśmy się co do jednego. Ucieczka nie jest dobrym wyjściem. Jest akceptowalna tylko w ostateczności. Człowiek, który ciągle ucieka, może i przetrwa, ale cóż za życie przychodzi mu wieść? Życie polega na podejmowaniu wyzwań. Na próbowaniu, przynajmniej, do ciężkiej cholery! Czego się nagle tak wystraszyłeś, Kalladrionie?

— Ta noc... Ona budzi lęki. Boję się, czy podołam. Wiesz, że nie jestem wojownikiem. Nie znam się na walce.

— Na zarządzaniu gospodarką prowincji też się kiedyś nie znałeś.

— To co innego... Miałem dobrych nauczyciół...

— Teraz też masz utalentowanych wojskowych — przerwała mu. — Możesz na nich polegać, wiesz o tym.

— Nie o to chodzi... Przynajmniej nie tylko o to — zastanowił się, czy przez to, że był nagi, trudniej mu było ubrać myśli w słowa. Nie, nie peszyła go obecność żony, ale był raczej przyzwyczajony do dyskusji w dostojnych szatach, dodawały mu powagi i teraz brakowało mu podparcia, pewności siebie. — Widzisz, ja zanim się czegoś nauczyłem... Zdarzyły mi się złe decyzje... Kilka. Na szczęście nie były katastrofalne w skutkach. Ale na polu bitwy może być inaczej. Tam nie wybacza się potknięć. One nie oznaczają, że parę tysięcy ludzi zbiednieje lub się wzbogaci, lecz śmierć.

— Najlepsi generałowie Tallendoru przegrywają czasem bitwy, Kalladrionie.

— Tylko my nie otrzymamy drugiej szansy, wiesz o tym? Nasze siły są zbyt szczupłe, nie dysponujemy rezerwami królestwa. Jedna przegrana i koniec.

Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy:

— Naprawdę pragniesz uciec? Wiesz, że pójdę z tobą wszędzie.

Niezależnie co zrobisz.

Odwrócił wzrok, jakby nie mogąc znieść ogromu zaufania kryjącego się w jej spojrzeniu.

— Nie, nie pragnę uciec... Po prostu... — i powtórzył bezradnie, jak małe dziecko: — Boję się.

\*

Mężczyzna zasłaniał twarz gładko wypolerowaną stalową maską, skrytą w cieniu kaptura.

— Wszyscy znający choć odrobinę sztuki nekromancji przemykają na północny wschód, gdzie jak wieść niesie powstał potężny lisz i gromadzi wielką armię. Wierzą, że pod kierunkiem trupich czarnoksiężników rozwiną swój talent i spełni się ich sen o absolutnej władzy nad śmiercią. Czemuż ty, Anathelu, nie wybrałeś się w drogę?

— Wasza dostojność, ich rzuca w ramiona mrocznej sztuki żądza, mnie zepchnęła desperacja. Nie jestem jak oni i nie będę.

Kalladrión spoglądał na nic nie wyrażający zimny metal, okrywający oblicze gościa. Wiadomość o niezwykłym przybyszu zastała go w zbrojowni, gdzie ostatnio spędzał większość czasu, miecznika widując częściej niż własną żonę. Teraz przyglądając się nieruchomej, emanującej tajemnicą sylwetce, zastanawiał się, skąd u licha Sallande go wytrzasnęła.

— Zaciekawileś mnie.

— Nie jest to historia, którą lubię opowiadać. Zbyt wiele jest w niej bólu, zbyt mało — powodów do dumy — mężczyzna w płaszczu zawahał się. Wreszcie, jakby wypuszczając z płuc całe powietrze, rzekł: — Moja żona była ciężko chora.

Kalladrión nie wiedział, co należało powiedzieć. Czuł, że nawet zwykłe „przykro mi” zabrzmiałoby słabo. Czuł, że dusza rozmówcy zwiija się w bólu, jakby cierpiała piekielne męki i żadne słowa nie mogły tutaj pomóc.

— Byłem wówczas młodym, zdolnym magiem. Wypróbowałem wszystkie znane mi dekokty i sprowadzałem najlepszych okolicznych medyków. Bez rezultatu, stan mojej ukochanej Airin pogarszał się z dnia na dzień. A potem lekarze zaczęli odchodzić nie patrząc mi w oczy. Wtedy w głębi duszy już wiedziałem. Ocierając pot z gorącego czoła i odgarniając sklezione wilgocią kosmyki włosów krzyczałem, że się nie poddamy, nie możemy, ale nocami popadałem w coraz czarniejszą

rozpacz. Wówczas znalazłem pewną księgę, mniejsza o to, skąd ją miałem. Oszałamem wtedy; tak człowieka pozbawić zmysłów może tylko ból. Każdą wolną chwilę poświęcam lekturze i eksperymentom. Niewłaściwym eksperymentom. Moja niegdyś piękna żona leżała na łóżku bezwładna niczym szmaciana lalka. Może powinienem być z nią wtedy. Trzymać za rękę. Ale ja zajmowałem się szczurami. Najpierw. Potem przyszła kolej na koty. Dzieciaki łapały je za parę groszy. Potem, nad ranem, odbierały ode mnie cuchnące ciężkie worki do zatopienia w rzece, z bezwzględnym zakazem otwierania. Mam nadzieje, że go posłuchały. Raz mnie tylko doszło, że znaleziono rozwiązany, w jakiejś alejce, ubabrany w wymiocinach. Niech bogowie zlitują się nad snami zbyt ciekawych.

W najciemniejsze kazamaty Askazzaru zabłądził podmuch powietrza, odbił się od ścian, porywając przy tym w tan ognie pochodni. Cienie na ścianach na chwile skurczyły się, po czym pogłębiły i wydłużyły, drgając niespokojnie, jakby w rytm uderzeń serca.

— Może miałem za mało czasu. Może byłem nie dość zdolny. Odeszła, a ja zostałem sam w pokoju pełnym poskręcanych kocich zwłok. Nic nie osiągnąłem. Miałem tylko jakieś żalosne elementy układanki, namiastkę wiedzy o zmartwychwstaniu. Ale rozpacz kazała mi spróbować. Wszystko przygotowałem jak należy. Rozpocząłem inwokację przekłętą rytuału. Cały mój ból przelałem w słowa.

Anathel opuścił głowę; kaptur przykrył metal maski, osłaniając go całkiem przed wzrokiem Kalladriona. Gdzieś dwa poziomy pod nimi szczękały łańcuchy i jęczał wielokrotny morderca — narzekając na swój marny los, a może po prostu bełkocząc coś w szaleństwie — grube mury nie pozwalały tego rozróżnić.

— Udało mi się. Rano otworzyła oczy. Zalałem jej zimną twarz pocałunkami. Nie odpowiadała, obojętna i nieobecna. Gdy próbowałem z nią rozmawiać, wydawała nieokreślone dźwięki. Wszędzie za mną chodziła. Kochałem się z nią, a potem całą noc siedziałem z twarzą ukrytą w dłoniach, nienawidząc się za tę chwilę przyjemności. W jej oczach... W jej oczach nie było Airin. Tylko pustka. Czerń. Czasem widziałem odbicie własnej umęczonej twarzy.

Kalladrión spoglądał na wypolerowany metal maski przybysza i nagle odniósł upiorne wrażenie, że zobaczył przez moment swoje oblicze, zniekształcone krzywizną stali.

— Raz w nocy obudził mnie przeraźliwy ból. Otworzyłem oczy i zobaczyłem Airin z zębami wbitymi w moje udo. Nie zmrużyłem oka do świtu, a rankiem kupiłem łańcuch. Stałem się samotnikiem pogrążającym się w odmętach szaleństwa. Na dodatek... Choroba dotyczyła jej, kiedy jeszcze żyła, więc teraz się już nie rozwijała, lecz nie potrafiłem zatrzymać procesu rozkładu. Dzięki mej sztuce przebiegał wolniej, ale... moja ukochana gubiła włosy i paznokcie. Co kilka dni musiałem sprzątać z podłogi kawałek gnijącego mięsa. Brzęczenie much doprowadzało mnie do szaleństwa. Raz zastałem ją całą nimi pokrytą. Nie ruszała się, jakby w ogóle jej to nie obchodziło. Zamknąłem więc wszystkie okna. Uszczelniłem, zabiłem na głucho deskami. Żeby pozbyć się duszącego odoru nosiłem na twarzy płócienną maskę z kłębami waty umaczanymi w occie. Księga, którą bezustannie studiowałem, nie przynosiła odpowiedzi. Zrozumiałem, że zawiera jedyne podstawy. A na to, że odnajdę cudem kogoś, kto wyjawi mi zaawansowane arkana nekromancji, nie mogłem już liczyć. Traciłem więc moją najdroższą kawałek po kawałku. Patrzyłem na nią — rozpadającą się, przywiązaną żelaznym łańcuchem do ściany, o nic niewyrażającym, upiornie pustym spojrzeniu. Była to karykatura osoby, którą kiedyś tak kochałem.

Zapadła cisza. Podmuch powietrza udał się gdzie indziej, by igrać z pochodniami, nawet szalony morderca z najniższego poziomu zmęczył się najwyraźniej bezskutecznym wysiłkiem.

— Wtedy zrozumiałem, że kocham ją nad życie i nad śmierć.

Cisza potrafi być jak gęsta substancja, która klei się do wszystkiego i wtłacza się do gardeł, dławiąc słowa. Gdy pojawia się ten jej rodzaj, człowiek instynktownie trzyma usta zamknięte, gdyż taką ciszą można się zachłysnąć, a próba pochopnego odezwania się może być gorsza niż podtopienie.

— Wiedziałem, co trzeba zrobić. Rankiem wybrałem się na targ i kupiłem cztery amfory przedniej oliwy. Porąbałem wszystkie meble w domu i obłożyłem ją nimi tak, że otaczały ją jak fort. Nagle pomyślałem — co ja robię, jestem szalony... Zacząłem zdejmować fragmenty barykady, dopadłem do mojej ukochanej, zacząłem ją całować. Wtedy po raz pierwszy mi odpowiedziała; poczułem dotyk wąskich, wyschniętych, zwiędłych kresek warg na swoim policzku. Nie potrafię opisać uczucia, jakie mnie wówczas ogarnęło. Serce zabiło mi szybciej, wręcz galopowało gnane nadzieją. Oto bogowie się do mnie uśmiechnęli,

pokuta czy też próba wreszcie się zakończyła. Może wreszcie nowo opanowana sztuka potrzebowała czasu, by zadziałać? Objąłem ukochaną silniej, szepcząc jej imię jak zaklęcie... a potem poczułem, że na moim policzku zaciskają się zęby.

Anathel podniósł głowę; wypolerowana maska zalśniła w świetle świec. Kontynuował głośnym, ale wyzutym z uczuć tonem:

— Poczuję szarpnięcie.

Nietoperz wypadł z rozpędem z załomu korytarza, uderzył skrzydłami o sklepienie, raz potem drugi, po czym przemknął tuż nad żagwią, tworząc na przeciwległej ścianie potworny ceń, następnie zniknął gdzieś, tak samo nagle, jak się pojawił.

— Oderwałem się od niej z krzykiem. Krew chlusnęła na drewno dookoła. Ściskając palcami rozdartą skórę policzka i zataczając się, odsunąłem się szybko. Chwyciłem amforę, rzuciłem nią... i rozbiłem o ścianę tuż obok Airin. A potem kolejne, aż roztrzaskałem wszystkie. Oliwa wymieszała się z krwią, a ja skrzesalem ogień. Płomienie pożerały ją szybko. Stała spokojnie, nie krzyczała. Była obojętna, jak podczas naszego seksu, jak wtedy, kiedy błagałem ją, by wróciła.

Cisza. I nic poza nią.

— Straciłem dom, cały dobytek. Musiałem uciekać, ścigany przez mieszczan za podpalenie. Nie dbałem o to, obojętny na wszystko, jakbym zaraził się czymś od niej. Tułałem się kilka lat, nie wiem dokładnie, jak długo, nim powróciłem do magii. I do ludzi.

Anathel podniósł głowę i zwrócił pozbawioną wyrazu maskę ku Kalladriowi.

— Teraz stoję przed tobą, panie. Stałem się nekromantą z przymusu i przeklinam moją wiedzę. Bodajbym jej nigdy nie posiadał, ale skoro już to się stało, może jedyną formą pokuty jest użycie jej ku jakiemuś dobru. Jeżeli pomogę zatrzymać hordy Dargaretha Val Kaldola, może zyskam w zamian spokojniejszy sen. Zapomnę na chwilę, że dla egoizmu nie pozwoliłem ukochanej odejść w spokoju, jak na to zasługiwała. Pytaj o co chcesz, wasza dostojność.

— Jak można ich powstrzymać?

— Nie znam wszystkich sposobów, ale, jak już wiesz, panie — jednym z nich jest ogień. Elixiry, które stosujemy, a może też gazy rozkładu zmienionego magią powodują, że ich ciała są niezwykle łatwopalne. Ten fakt rzucił mi się w oczy już podczas pierwszych

eksperymentów, gdy próbowałem znaleźć sposób na pozbycie się licznych trucheł szczurów. Spalały się zaskakująco szybko, wytwarzając jedynie drażniący płuca czarny dym. Pogarszał on i tak moją nienajlepszą reputację u sąsiadów, poza tym obawiałem się, że zawarte w nim substancje mogą być toksyczne dla Airin, dlatego ostatecznie wynajmowałem dzieciaki, by pozbywały się zwłok spławiając je rzeką. Tym niemniej zobaczyłem wtedy, że ogień niszczy je na dobre i dlatego taki sposób odejścia... wybrałem dla niej. Oliwę kupiłem dla pewności, żeby nie cierpiała, jakby coś potoczyło się niezgodnie z przewidywaniami. Nigdy nie eksperymentowałem na człowieku, zaawansowana nekrochemia martwych tkanek wciąż pozostawała dla mnie zagadką.

\*

Po rozmowie w ciemności blask słońca na zamkowym dziedzińcu boleśnie raził oczy. Kalladrion zmrużył powieki, jego towarzysz głębiej naciągnął kaptur. Przechodzili obok stajni; cuchnęło z niej, jakby wszystkie konie jednocześnie wypróżniły się, a potem jeszcze wytarzały się w kale. Dookoła unosiły się roje much; wielkich, grubych bestii o połyskliwych skrzydłach. Dookoła budynku znajdowała się opustoszała strefa, w którą nie ważył się wkroczyć żaden dworzanin ani nawet chcący sobie skrócić drogę paź. Anathel zajrzał przez jedno z okien. Ku swemu zdziwieniu zobaczył zwisający na sznurku z powały kawał zepsutego mięsa.

Weszli w półcień następnego budynku; pod ścianami leżały wielkie topory i młoty bojowe, opierały się wielkie prostokątne tarcze i poręczne puklerze.

— Chciałbym ci przedstawić mojego zbrojmistrza i przyjaciela. Szambelanie, oto Anathel, mistrz ciemnej magii. Spójrz magu na nasze przygotowania i sprawdź proszę, czy wedle twojej wiedzy nasze rozumowanie jest poprawne. Doszliśmy o wniosku, że broń kłuta jest mało skuteczna przeciwko truposzom. Kazaliśmy wszystkim kowalom przestawić się na produkcję toporów.

— Myśleliśmy o zakupie części mieczy i toporów od sąsiadów, ale nie było to łatwe, gdyż każdy teraz się zbroi — odezwał się, ważąc w dłoni stylisko. — Taniej wychodzi samemu produkować, najwyżej kowal musi przyjąć dodatkowych pomocników. Za to sprzedaliśmy niemal cały zapas broni drzewcowej, żeby podreperować skarbiec.

— Niestety, o ile przezbrajanie piechoty idzie dobrze, o tyle zupełnie nie wiem, co począć z formacjami strzeleckimi. Myślałem, żeby łucznicy walczyli na miecze, ale to tak, jakby doborową konnicę próbować zmienić na piechotę. Zgodnie z twoimi sugestiami mistrzu, spróbujemy wyposażyć choć niektórych z nich w strzały zapalające.

— Nie rozwiąże to problemu — pokiwał głową Galain. — Ogniste strzały podpała dom, ale trzeba szczęścia, by spopielify człowieka.

— Musimy chociaż spróbować, poza katapultami nie dysponujemy żadną bronią dystansową.

— Co sądzisz o legendarnej wielkiej sile nieumarłych? — Galain zwrócił się bezpośrednio do maga.

— Nie wiem, co miałyby być jej źródłem. Wszelka siła pochodzi od mięśni; zdegenerowane, rozpadające się tkanki powinny raczej powodować kłopoty z poruszaniem, co zresztą jest obserwowalne. Chodzą powłócząc nogami, a ich ruchy są nieskoordynowane. Przypuszczam zatem, że truposze nie są silniejsi od ludzi, nie mają tylko ich zahamowań. Część z nas ma wbudowane odruchy, by nie uderzyć za mocno, dlatego, że przez lata ćwiczeń nauczyliśmy się kontrolować naszą agresję. Nie chcemy też uszkodzić własnego ciała podczas uderzenia. Nieumarły może uderzyć tak potężnie, że złamie własną rękę, ból nic dla niego nie znaczy. Sadzę, że wbicie palców w oczodół i wyjęcie oka dla większości z nas jest czymś obrzydliwym, dla nich to odruch jak każdy inny.

— My sądzimy podobnie. Zaprojektowaliśmy nowy typ zbroi. Jej podstawową zaletą jest to, że ochrania każdy kawałek ciała, natomiast jest stosunkowo mało wytrzymała na ciosy.

Na drewnianym stojaku wisiała srebrzysta zbroja, na pierwszy rzut oka wyglądająca na skonstruowaną z cienkiej blachy. Zwracał uwagę zabudowany hełm, zostawiający jedynie wąską szczelinę dla oczu, oraz starannie wykończone folgi, zwłaszcza wokół szyi i ramion.

— Umarli jednak rzadko używają broni, a jak już, to raczej nie koncerzy czy mieczy półtoraręcznych. Idealne wyposażenie dla pierwszych linii naszej ciężkiej piechoty.

— Niestety nie stać nas, by wyposażyć tak całą armię, ale jeżeli się utrzymają, tyle powinno wystarczyć. Jeżeli natomiast nie... — wzruszył wymownie ramionami.

— W stajni, jak zapewne raczyłeś zauważyć mistrzu, powiesiliśmy

płaty gnijącego mięsa. Nie wiedzieć czemu woń rozpadającej się chodzącej padliny wzbudzała w wierzchowcach przerażenie. Mamy nadzieję je przyzwyczać do tego smrodu, choć na razie, przyznaję, głównie wypłoszyłem wszystkich gości.

— Może i lepiej. Jeżeli ktoś z własnej woli został w zamku, który lada moment zostanie ogarnięty nawałnicą żywej śmierci, prawdopodobnie jest szpiegiem.

— Zamierzam ponadto zrezygnować ze starej taktyki lokowania formacji obronnej na wzgórzu. Wydaje się, że ważniejszy jest kierunek wiatru; jeżeli uderzymy wraz z nim, nie będą mogli użyć tego trującego dymu. Ponadto umarli się nie męczą, więc marsz pod górę ich nie osłabia, zresztą już wcześniej zrezygnowaliśmy też ze strzelców, którzy normalnie mogliby razić przeciwnika na większy dystans.

\*

Po całym dniu spędzonym na naradach z Galainem i Anathelem, Kalladrion cuchnęła potem. Wydawało się, że jego ciało każdą komórką wydalało z siebie zmęczenie. Kierował się już do sypialni, planując zrezygnować z kąpeli, gdy na korytarzu drogę zastąpiła mu Sallande. Ubrana była w strojną suknię, bogato zdobioną złotą nicią.

— Zaprosiłam kilku gości na ucztę. Powinieneś tam być.

— Nie mam teraz czasu na zabawę.

— Zabawę? — prychnęła. — Myślisz, że stoję tutaj przed tobą dla zabawy wystrojona w ostatni komplet biżuterii, którego jeszcze nie sprzedałam, by kupić topory? Złote kolczyki są po to, by olśnić twoich gości ostatni raz, jutro przychodzi po nie kupiec. Ale dzisiaj... Dzisiaj zaprosiłam najważniejszych okolicznych możnowładców, w tym jednego protektora sąsiedniej prowincji. Choć wielki jak góra, drży przed potęgą nieumarłych. Ci ludzie potrzebują przywódcy. Ty potrzebujesz ludzi. Sam nie powstrzymasz hord prowadzonych przez lisza.

— Masz rację — popatrzył na nią z wdzięcznością. — Tylko się umyję.

— Każę podać przepiórki — skinęła głową.

\*

Kiedy kładł się spać, czaszkę rozsadzał mu ból. Długo nie mógł usnąć, jak zdarza się tylko ludziom do cna wyczerpanym. Jakby nawet sen wymagał pewnego wysiłku i organizm musiał się wcześniej zregenerować. Mimo znużenia rzucał się po łóżku, czoło płonęło



gorączką, a pod powiekami wyświetlały się obrazy. Kawalkady wozów wywożących dobytek z zamku mieszały się z kłócącymi się wielmożami w (jeszcze umeblowanej) sali przyjęć. Towary jechały na sprzedaż, w drugą stronę zmierzały karawany wypełnione bronią. Wspólnie z żoną ustalili, że jeśli nie uda się zatrzymać nieumarłych w bitwie, na świecie wiecznej nocy kosztowności i tak nie będą im potrzebne.

— Czasami w życiu trzeba zaryzykować i postawić wszystko — powiedziała Sallande — Połowiczny wysiłek tutaj nie da połowicznych rezultatów, po prostu przegramy, a wtedy lepiej nie walczyć wcale.

Możni długo kłócili się w bogato udekorowanej sali jadalnej. Gdyby przeszli się na spacer po zamku, zobaczyliby puste, odarte z gobelinów ściany. Może zamiast próbować olśnić ich bogactwem należało pokazać im ascezę wojownika, pokazać co już poświęciłem i co gotów jestem poświęcić?

Nie, Sallande miała rację, do bogatych panów trzeba przemawiać ich językiem, językiem złota i luksusu. On, pochodzący z niższego rodu, ciągle o tym zapominał.

Wspomnienia wieczoru stały się już przeszłością i mieszały się z przyszłością, tym co trzeba zrobić. A trzeba było ewakuować wszystkich mieszkańców prowincji. Wieśniacy nie rozumieli tego, chcieli jak zwykle ukryć się w lasach. A tu trzeba było przygotować przedpole bitwy i zostawić spaloną ziemię, bo przed walką z nieumarłymi trzeba było najpierw usunąć żywych. Mówiono wieśniakom, że to dla ich ochrony, to prawda, ale przede wszystkim chodziło o to, żeby nie powiększać armii chodzących trupów. Dlatego Kalladrion pozwolił rozgłaszać to, o czym donieśli zwiadowcy, o wioskach zmienianych przez zgniłozielony dym w trupiarnie.

Uczył się wykorzystywać panikę jako narzędzie. Zbliża się armia ciemności i zamieni was w trupy, uciekajcie! A potem kazał swoim ludziom nawiedzać cmentarze w opuszczonych osadach. Odkopywać zwłoki, które nie zamieniły się jeszcze w stertę butwiejących kości, i palić. Rycerze niechętnie garnęli się do tego zajęcia, kazał więc rozpuścić wieść, że to jest test dla prawdziwych twardzieli, rodzaj bojowego chrztu, który pozwoli im nie ulęknąć się truposzy w boju.

Wszystko jest kwestią interpretacji, wartościowanie można odwrócić. Moralność stała się zabawką w jego rękach, wyginał ją i kształtował niczym mokłą glinę. Jego żona kazała zdjąć padlinę ze stajni.

Goście mogą nie zrozumieć, mówiła. Rano zawiesimy nową.

— Będzie mniej śmierdzieć — powiedział wtedy.

— I mniej się ruszać. Jesteś pewien, że przez zbyt mało cuchnącą padlinę przegramy tę wojnę? Widziałeś, jak twoje konie na ciebie patrzą? Jeszcze trochę, a wynajdą mowę tylko po to, by zawiązać spisek.

Zatracił proporcje. Chcąc wygrać za wszelką cenę, zatracił wszelkie proporcje.

Burzliwa, niepotrzebna dyskusja w sali jadalnej. Nie brał w niej udziału, siedział tylko podpierając palcami skronie. Czy wtedy zaczął się migotliwy, pulsujący ból głowy? Wokół zbyt wiele hałasu, natarczywych, roztrzęsionych głosów, zbyt wiele wina (pitego puchar po pucharze, by zapisać strach). I tak wszyscy, którzy przyszli, oddali swe wojska pod jego komendę. Nie wiedzieli, co zrobić, a on ich przekonał, że wie. Trochę udawania, ludzie tak łatwo nabierają się na pewność siebie. Król ich opuścił, podejmując decyzję, by legiony skupiły się na obronie centralnych prowincji, kupując tym samym nieco czasu na przegrupowanie i dodatkowy pobór. Znaleźli sobie nowego przywódcę — ludzie tak rozpaczliwie potrzebują kogoś, kto będzie im mówił, co mają robić.

Wszyscy którzy przyszli, zostali przy nim. Gorzej z tymi, którzy nie przybyli. Cześć z nich zapewne uciekła razem z wojskami i bogactwami, przemieścili się ku centrum kraju, gdzie długo jeszcze mogło być bezpiecznie. A chłopci... Cóż, może im się poszczęści w lasach.

A może nie.

Nie wszyscy wielmoże uciekli. Poseł nekromanta odwiedził nie tylko dwór Kalladriona. Mniejsi możnowładcy czekali z ogłoszeniem lojalności Dagerathowi Van Kaldolowi aż w ich granicę zajadą pierwsze zagony armii ciemności. Może to zdrajcy, a może jedyni rozsądni ludzie, którzy przetrwają nadciągającą noc? Potrafiący zaopiekować się swoimi ludźmi i swoimi ziemiami? Może Kalladrion był na najlepszej drodze, by wygubić wszystkich, na których mu zależy?

W głowie łupało mu straszliwie.

Mniejsi możnowładcy czekali. Dombartheley, największy lord zarządzający prowincją dwa razy bogatszą od Kalladriona, ogłosił wierność sprawie nekromantów. Jako liczący się gracz nie mógł czekać, zademonstrował więc siłę. Zebrał wokół swojego zamku wielką armię. A Kalladrion nie potrzebował wertować starych podręczników do taktyki,

by wiedzieć, że nie może wyruszyć przeciwko nieumarłym, mając tę armię za plecami.

\*

Rankiem słoneczne światło obudziło go brutalnie. Przebudził się, wciąż oszołomiony i wstał, by zasunąć przekłete zasłony. Stanął w oknie, pozwalając by owiewało go ciepłe letnie powietrze. Oślepiiony światłem odwrócił wzrok od nieba i skierował ku kojącej zieleni trawy, porastającej przedpola Askazaaru. Dostrzegł sznur ludzi przemieszczających się od bramy drogą hen w nieskończoność.

Kwadrans później był już ubrany i na blankach. Wraz z nim exodusowi przyglądała się Sallande, Galain i Anathel (wciąż w kapturze i masce), oraz większość możnowładców.

— Trudno się dziwić prostym ludziom, że w tych okolicznościach nie dochowują wierności panu — rzekł szambelan. — Idziesz na wojnę, a wiele wskazuje, że w okolicach Askazzaru zrobi się wkrótce niebezpiecznie. Rozsądnie jest udać się na południe, przeczekać zawieruchę. Zwłaszcza że tutaj, nawet gdy nie stracisz życia, to z pewnością majątek. Ostatnie specjalne podatki nie ucieszyły nikogo.

— Nie stworzę armii z pustym skarbem.

— Poddani o tym nie myślą, żyją tym co widzą, a rozeszły się już słuchy — rozpuszczane zapewne przez pałacową służbę — o pustych korytarzach i wyprzedanej zastawie. Lud rozumuje tak: biedny władca to słaby władca. Albo to taki władca, co będzie chciał zabrać innym, żeby się wzbogacić. Dlatego choć wielu zostało, znaczna część podjęła decyzję o wyjeździe.

— Nie są moimi niewolnikami. Mogą odejść w każdej chwili.

— Wszyscy? Co z tymi, którzy służyli wam bezpośrednio? Też nie są zadowoleni, widząc dzisiaj rano twoją żonę już bez żadnego kompletu biżuterii. Mój panie, miasto ubożeje, a ogołoczone komnaty zamku zieją pustką. Niektóre z tych wozów wiozą majątek, który bez pamięci wyprzedajesz. O, nawet teraz widzę jeden wypełniony beczkami z winem, zawierający zapewne cały gromadzony przez setki lat zapas z piwnic.

— Wolę wystawić dwa legiony rycerzy, niż upić dwa legiony magnatów.

— Ci sami możni będą się burzyć, gdy każesz im oddać następny kawał ziemi kupcom w zamian za napierśniki i hełmy. Nie podoba im się,

że rozdzielasz ich rodziny i rodziny poddanych, zabierając mężczyzn do wojska, a im samym każąc pakować się w niejasną awanturę. Co więcej, nie podoba im się, że bezczęścisz groby i wysiedlasz siłą wsie, nie dbając o niczyje zdanie.

Kalladrion podniósł głos, tak by usłyszeli go zgromadzeni wokół dostojnicy:

— W życiu trzeba postępować praktycznie, odkładając na bok uczucia i marzenia, żeby wygrać. Nawet jeśli czasem przyjdzie nam robić rzeczy, na które nie mamy ochoty, albo które są wbrew naszej najgłębszej istocie. Życie jest twarde, i by coś w nim osiągnąć, trzeba być jeszcze twardszym, a emocje nie pomagają w obliczu kryzysu. Nie są ważne, gdy przychodzi obliczać polityczne posunięcia, zawiązywać sojusze i zawierać pakt. Musimy wiele poświęcić, by osiągnąć nasz cel.

Szambelan skłonił się w milczeniu, a Kalladrion nie wiedział, czy ta rozmowa była rodzajem sprawdzianu, czy jego stary doradca próbował może mu coś przekazać?

## V

Na okoliczność wyjazdu ubrał paradną czarną zbroję, ze złożonymi folgami, i emblematem gotowego do skoku lwa na napierśniku, z ramion spływał świeżo uszyty fioletowy płaszcz. Ważyła chyba z tonę, i Kalladrión, niespecjalnej przecież muskulatury zamierzał zrzucić ją, gdy tylko mury miasta znikną z pola widzenia. Wcześniej nosił ją ledwie trzy razy w życiu, zawsze z okazji państwowych uroczystości. Pomyślał też, że lśniący na wypieranej powierzchni kirysu złożony lew symbolizujący odwagę jest raczej ironią losu, odkąd sięgał pamięcią, jego przodkowie nie charakteryzowali się odwagą w boju.

Na dziedzińcu kulbaczone konie, rotmistrzowie ustawiali doborową piechotę w szeregi. Intendenci szukający zgubionych wozów z zaopatrzeniem mijali się z gońcami niosącymi rozkazy o wymarszu poszczególnych chorągwi.

— Na pewno nie zgodzisz się, bym mogła pojechać z tobą?

— To więcej niż niebezpieczne. Jesteś dla mnie wszystkim, co drogie. Nie zniósłbym myśli, że mogłoby ci się coś przytrafić. Oszałamym wtedy. W Askazzar jesteś bezpieczna.

— Ludzie, którzy się kochają, powinni dzielić wspólny los.

— Jeżeli naprawdę się kochają, jedno nie wystawi na niepotrzebne niebezpieczeństwo drugiego.

— Mogłabym ci pomagać... Zawsze polegałeś na moim oglądzie sytuacji. Poza tym... — Sallande spojrzała mu śmiało w oczy i uśmiechnęła się słodko. — Byłbyś lepszym dowódcą w dzień, gdybym pozwoliła ci się zrelaksować w nocy.

— Byłbym kiepskim dowódcą, gdybym cały czas martwił się, czy coś ci się nie stanie. Mój umysł będzie klarowny tylko wtedy, gdy będę miał pewność, że jesteś bezpieczna.

— Co za różnica, tu czy obozie? Przecież nie zamierzam brać bezpośredniego udziału w bitwie...

— Na wojnie różnie bywa, czasami walki wkraczają w rejon taborów... Poza tym jeżeli przegramy, obóz staje się łupem zwycięzców, ale będzie dość czasu, by ewakuować Askaazar.

Łzy pojawiły się w jej oczach.

— Jeżeli przegracie, ja nie chcę żyć. Nie bez ciebie.

Przytulił ją. Czuł kruchość jej ciała w swych ramionach, drżenie i łkania, które wstrząsały nią krótkimi, urywanymi falami. Patrzył z poczuciem winy na nagie nadgarstki, niegdyś przyozdobione wspaniałymi bransoletami. Palce muskające szyję nie znajdowały kosztownych łańcuszków ani srebrnych kolczyki. Kimże był? Nie potrafił zapewnić ukochanej kobiecie losu, na jaki zasługiwała.

Cóż z niego za mężczyzna? Cóż z niego za władca?

— Nie płacz. I nie mów głupstw — gładził delikatnie jej aksamitne włosy, czując się nagle niezwykle bezradny. Miał wrażenie, że każda jego próba pocieszenia wyjdzie błado, jednak nie mógł też milczeć, bo cisza wybrzmiewałaby jeszcze gorzej, byłaby zgodą na to, że już przegrali. — Na świecie jest aż nazbyt wiele umierania i wierz mi, dość powodów do życia — zakończył, czując jaskrawą ułomność tej wypowiedzi, jakby słowa okulały, wychodząc przez usta.

— Pisz do mnie na każdym postojach. I w każdej wolnej chwili. Będę z wytęsknieniem czekała na posłańców.

— Będę pisał i myślał ciągle o tobie. I jeszcze więcej pisał.

Nędzny zamiennik bycia razem. Jakby kilka zawijasów na papierze mogło zastąpić spojrzenia i gesty, ciepło ciała ukochanej osoby, niepowtarzalny, doprowadzający krew do wrzenia tembr głosu.

I przecież ta najważniejsza wiadomość, od której wszystko zależy, nie przyjdzie w elegancko zalakowanej kopercie. Obwieści ją albo tryumfalny śpiew rogów bojowych, albo zakrwawiony rycerz zsuwający się z konia na dziedzińcu i wydający ostatnie tchnienie.

Więc obiecali sobie, że będą pisać. Chociaż chcieli czegoś innego. Chociaż było to bez sensu. Obiecali.

\*

Grube masywy chmur sunęły powoli, niemalże niedostrzegalnie po niebie, z wyraźnym trudem ciągnąc obwisłe, ciemne brzuszyska. Powietrze wypełniała wilgoć i wyraźnie odczuwalne napięcie, jakby sama natura na coś czekała. Ktoś przesądny powiedziałaby, że wyjście wojsk z Askazaaru najraźniej nie odbyło się pod szczęśliwą gwiazdą.

Kalladrión przesądny nie był w żadnym stopniu, a jednak martwił się i to bardzo. Patrzył na gromadzące się groźnie chmury na poły z troską, na poły z gniewem. Dla armii, której zwycięstwo miało być oparte na przemyślnym użyciu ognia, deszcz mógł okazać się najgorszym

przeciwnikiem. Byleby to była tylko przelotna burza, a nie wielodniowe opady. Dzięki przewadze w zdolnościach manewrowych Kalladrion mógł w pewnym zakresie wybrać dogodny czas bitwy. Burza nie będzie tragedią, będzie kłopotem. Trzeba zabezpieczyć strzały w kołczanach, dzbany z ulepszoną przez Anathela oliwą są raczej niezagrożone, ale bele słomy należałoby koniecznie nakryć dobrze nawoskowanym płótnem.

Wielodniowe opady mogą ich zniszczyć. Armia utknie w błocie, nieczuli na zmiany aury nieumarli ją dogonią i, najprawdopodobniej, zetrą w proch. Strzały zgasną w deszczu, a ciężka jazda ugrzęźnie, niezdolna do szarży.

Nie tylko niesprzyjająca pogoda martwiła Kalladriona. Patrzył na stanowczo zbyt długi strumień ludzi przelewający się przez bramy Askazaaru. Połowę sił, które prowadził, należało sklasyfikować jako bezużyteczną albo nawet jako obciążenie. Nawet nie o to chodziło, że dołączyli zbyt późno, i niewielu nosiło uzbrojenie, o jakie prosił; większość nadal preferowała broń drzewcową i nie przykładła należytej uwagi do ochronnego pancerza. Nie o to też, że prowadzeni nieraz przez pomniejszych możliwych stanowili bardziej pospiesznie zwołaną zbieraninę niż regularne wojsko; wielu z nich było chłopami, wyrwanymi z gospodarstw w wyniku ogłoszonego znienacka i ledwie przed tygodniem poboru i włócznie trzymali jak widły. Ale każdy ze znaczniejszych rycerzy zabierał ze sobą tuzin służby, kilka markietanek i oczywiście, że giermka. Najważniejsi pamiętali również, by zabrać kucharza oraz podczaszego, niekoniecznie w tej kolejności i — co zdarzyło się dwa razy — osobistego herolda. Z trąbką. Z cholerną trąbką.

Wiozę nieumarłym zapas rekrutów, myślał Kalladrion. Najpierw oczyszczam granice z chłopstwa, a potem jak głupiec prowadzę tłuszczę na rzeź. Na dodatek poważnie ograniczam szybkość poruszania się mojej armii, wytrącam sam sobie z rąk najważniejszy atut.

Kłopotał Kalladriona również nieoczekiwany przeciwnik. Rebelia zdrajcy Dombartheleya musiała zostać zdławiona w zarodku, dlatego prowadził teraz swe siły nie w kierunku nadciągającej armii lisza, ale na rodową siedzibę Dombarthelejów Samoth Del. Szczęśliwie, razem z wojskami sojusznicznych możnowładców, tutaj posiadał przewagę liczebną, nawet gdyby pominąć te formacje, które jeszcze wczoraj pasły kozy.

Świetlisty zygzak przetoczył się przed niebo, które przypominało

kolorem skórę ożywieńców nekromanty. Zagrzmiało. Wielu z możliwych patrzyło z lękiem w nabrzmiąte wodą chmury i z ledwością powstrzymało chęć ściągnięcia wodzy i zawrócenia koni. Kalladrion nie należał o osób przesądnych, ale ludzie, których prowadził — już tak.

\*

— Zwiadowcy nie wrócili.

Kalladrion oderwał wzrok od listu, który nieudolnie próbował pisać, zrobiwszy chybotliwą podstawkę z deski opartej o łęk siodła. Rycerz, który przyniósł te niekorzystne wiadomości, nie golił się od trzech dni, a twarz miał zakurzoną i pobrużdżoną zmarszczkami. Najwięcej było ich wokół oczu, które mrużył nieustannie, jakby nie spał od co dłuższego czasu. Hahut, dowódca zwiadu, niemal każdą noc spędzał na terenie nieprzyjaciela.

Poczuł, że żołądek mu się kurczy. Pierwsze ofiary tej wojny. Rzucił spojrzenie za siebie, gdzie wiła się między pagórkami zbieranina wojsk, które mu zaufały. Zwracały uwagę zwłaszcza siły Askazaaru, gdzie prawie każdy żołnierz nosił kompletny pancerz. Kasa Kalladriona świeciła pustkami, nie stać go było na zbroje ochronne dla wszystkich. Ale jego ludzie, wiedząc z jakim strasznym wrogiem przyjdzie im się mierzyć i ufając pomysłom dowódcy, dozbrajali się za własne. Ten czy ów miał znajomego czeladnika, który nocą, gdy mistrz kowalski spał wykuł folgi za ćwierć ceny, inny sprowadził metal korzystając z usług kuzyna-kupca.

Zaufanie potrafi dodawać skrzydeł, ale też może ciążyć niczym kamień, gdy ma się świadomość, że droga, którą się prowadzi swoich ludzi, wiedzie przez śmierć. Odłożył list, gdzie koślawym pismem napisał jedynie „Najdroższa Sallande”. Wierzchowiec powłóczył kopytami; nie dało się szybciej, żeby piechurzy nadążyli, w każdym razie nie chybotali mocno. Ale to nie trudności lokomocyjne stały na przeszkodzie w zapisaniu stronnicy. Po prostu brakowało słów, którymi mógłby wyrazić tęsknotę, żal i ból rozstania. Lęk, że już nigdy jej nie zobaczy, okrążony przez przeważające siły truposzy w jakimś jarze lub porażony zdradliwym czarem mistrza nekromancji.

— Prawdopodobnie zagony nieumarłych odcięły im drogę i nie mogą wrócić. Nekromanci wysłali przodem dziesiątki niewielkich grup, by posilały się uciekinierami i siali terror. Oznacza to, że nie wiemy, gdzie jest ani w którym kierunku zmierza armia lisza. — Hahut wyjął z



kieszeni zgięty na czworo straszliwie pokreślony kawałek pergaminu. Rozłożył go i Kardallion zobaczył pośpiesznie nakreślony całkiem udany szkic okolic. Zwiadowca wskazał palcem obszerny kawał mapy:

— Szacując średnią prędkość przemieszczania się truposzy, mogą uderzyć w dowolnym miejscu między tym punktem a tym.

Kalladrion zobaczył niewielką czarną wieżyczkę oznaczającą Tel Kaladel. Poczuł, jakby pieść zacisnęła się na jego sercu. Dotąd nie myślał, że Evalayn może być zagrożona. Ścisnął nieco bok konia, tak by przyspieszyć i zrównać się z wojami i szambelanem. Hahut pokazał im mapę i powtórzył wiadomości.

— Wyślemy silniejsze oddziały — powiedział lord — tak liczne, by mogły przebić się przez awangardę wroga. Musimy wiedzieć, którędy zdąży ta armia i przeciąć jej drogę. Jeżeli nawet nie rozpozna tego zwiad, zwrócimy na siebie uwagę nekromantów i ruszą nam na spotkanie.

Mężczyźni skinęli potakująco głowami.

— Ile czasu, Hahucie, zostało nam do spotkania z wrogą armią, licząc szacunkowo?

— Jeżeli ich sprowokujemy i ruszą nam na spotkanie, zetniemy się z nimi za jakiś dwa dni.

— Doskonale. Zbierz kilkunastu zaufanych ludzi. Muszę pilnie udać się do Tel Kaladel.

— Wasza Wysokość — oficerowie byli wstrząśnięci. — Dowódca opuszcza armię przed bitwą? To szaleństwo, pomijając już, co pomyślą żołnierze...

— Poza tym, — dodał Hahut — teren wokół Tel Kaladel jest niebezpieczny. Jestem więcej niż pewien, że wkrótce nadciągną pierwsze zagony truposzy i odetną twierdzę od świata.

— Tym bardziej musimy się spieszyć — rzekł krótko Kalladrion.

— Wasza dostojność, nie będę potrafił zapewnić waszej dostojności bezpieczeństwa...

— Należałoby zabrać co najmniej kilka setek ciężkiej jazdy, a i tego może być mało, żeby wyrąbać sobie drogę z powrotem. Musimy tam ruszyć całą armią, wtedy może tak, wtedy to bezpieczne.

Kalladrion wyobraził sobie, jak jego liczne wojska ściągną całą uwagę nekromantów na Tel Kaladel i aż się wzdrygnął. Nie chciał tego. Poza tym musieli ruszać na Samoth Del. Dombatheley za plecami mógłby okazać się śmiertelnie niebezpieczny.

— Nasze główne siły mają inne zadanie, a i kilkuset ludzi może nie wystarczyć, by się przebić... Tymczasem kilkunastu wcale nie musi się przedzierać, po prostu przemkniemy się niezauważeni jak płotka przez oka sieci. Zbierz oddział. Ruszamy jak najszybciej. Z każdą chwilą jest coraz więcej spacerujących martwych pod Tel Kaladel.

— Wasza Dostojność. Choć wiem, że to wbrew zwyczajom waszej dostojności, ale jedziemy na tereny ogarnięte wojną. Nalegam, byś w tym czasie ubrał zbroję.

Kalladrión skrzywił się na myśl o wędrowce po długich schodach Tal Marion w ciężkim pancerzu.

— Gdy dojdzie do starcia, ufam, że ocalą mnie twoi ludzie.

— Może być ich zbyt mało.

— Wtedy pozostanie mi ucieczka. Zbroja tylko by mnie spowalniała.

— Mogą nas zasypać gradem strzał.

— Nieumarli niemal nie używają łuków, a jak strzelają, to we wszystkich kierunkach, łącznie z własną stopą. Dość już, powiedziałem! Wyruszam na księżycowy zamek!

\*

Evalayn zanurzyła koniuszek stopy w wannie. W pierwszej chwili woda oparzyła ją, dziewczyna poczuła się, jakby wdepnęła w gąszcz pokrzyw. W parującym, wilgotnym powietrzu rozchodził się przyjemny zapach ziół. Ostrożnie postawiła nogę, potem drugą, następnie powoli usiadła, zanurzając całe ciało. Ułożyła się wygodnie, oparła głowę o brzeg wanny, przymknęła z lubością oczy. Jej zazwyczaj śnieżnobiała skóra lekko poróżowiała, gorąco pobudziło krążenie i sprawiło, że krew popłynęła żywiej.

Co zaskakujące, wysoka temperatura wody nie wywołała u niej najmniejszej słabości. A jeszcze bardziej zdziwiłby się ktoś, kto zapragnąłby zanurzyć dłoń; spostrzegłby, że woda jest chłodna, jakby księżniczka po zamknięciu oczu przespała godzinę... I co dziwne, staje się coraz zimniejsza. Wreszcie rozpoczął się błyskawiczny proces krystalizacji i nagie ciało dziewczyny spoczęło w okowach lodu.

Evalayn otworzyła oczy; błysnęły nową energią. Bez trudu poruszyła, wydawałoby się — uwięzioną dłoń, następnie zdecydowanym ruchem wstała, krusząc lód na drobne kawałki. Przeciągnęła się prężnie jak kocica i spojrzała w lustro, gdzie odbijała się jej smukła, doskonała sylwetka. Podeszła do gustownej komódki i

zaczepnęła z flakonika odrobinę mlecznego likworu. Zaczęła energicznymi ruchami rozprowadzać gęstą substancję po skórze, a gdziekolwiek ją posmarowała, najmniejsze przebarwienia i niedoskonałości blakły i znikwały, jakby zostały wymazane.

Sięgnęła po kolejny flakonik; kilkoma ruchami rozpyliła przed sobą chmurę miniaturowych kropelek, następnie zrobiła krok do przodu, pozwalając by osiadły na jej skórze.

Podeszła do szafy, chwilę zastanawiając się nad wyborem bielizny i sukni. Wybrała ciemnooliwkową, o skomplikowanym, asymetrycznym kroju i wielu subtelnym zdobieniach. Na stopie pojawił się złoty łańcuszek, przy uszach zamigotały kolczyki, a drobne pierścionki zabłyśły na długich palcach. Łabędzią szyję przyozdobił drogocenny łańcuszek, zakończony błyskotką w ażurowej oprawie.

Wreszcie ostatnia rzecz — przysiadła przed lustrem, i sprawnymi, wyuczonymi ruchami nie tylko podkreśliła urodę twarzy o regularnych rysach, ale namalowała na twarzy nastrój, emocje na dzisiejszy wieczór. Usta powiększyły się i wypełniły czerwienią, stając się obietnicą namiętności, a wydłużone rzęsy i czarna oprawa wokół oczu nadała im poważny, zagadkowy wyraz.

Drzwi uchyliły się i do salonu zajrzał kosmaty łebek. Zaszczekał radośnie. Niewielki, ale za to bardzo kudłaty piesek wskoczył pani na kolana, stając się mimowolnie ostatnim elementem dopełniającym ubiór.

— Jakiś ty ciężki — wstała, kołysząc go w ramionach. Rzuciła ostatnie, krytyczne spojrzenie w lustro, następnie przeszła do sąsiedniej komnaty.

— Witaj, Kalladrynie. Przepraszam cię, że musiałeś czekać.

Odwrócił się ku niej.

— Nic wielkiego się nie stało. Służba podała napój i ugościła słodkimi owocami. Musiałem wreszcie odpocząć po wspinacze schodami.

Psina wyrwała się z ramion pani, podskoczyła i w paru susach znalazła się przy gościu. Zaczęła go radośnie obszczekiwać, póki ten nie schylił się i nie przewrócił zwierzęcia na brzuch, by się z nim bawić.

— Alcyfiades lubi cię. To rzadkość. Chyba wyczuwa w tobie dobre serce. Ujadał jak szalony na wszystkich mężczyzn, którzy tu ostatnio byli, a jednego nawet zaszczycił oddaniem moczu na nogawkę.

— Odwiedził cię jeszcze po tym wydarzeniu?

— Chciał, ale zasugerowałam mu, że niezbyt ładnie pachnie. — Nagle załamana ręce. — Ach, gdybym ufała bardziej instynktowi Alcyfiadesa, a mniej swoim uczuciom. Wiesz Kalladrionie, mężczyźni mają zadziwiający dar oszukiwana kobiecego serca. Zwodzą nas swoimi sztuczkami, dobrze wiedząc, że natura stworzyła nas istotami naiwnymi. Tak łatwo obdarzamy zaufaniem; kogóż przecież winić? Nasza konstrukcja sprawia, że jesteśmy skazane na rozczarowanie.

Łzy błysnęły w jej oczach niczym miniaturowe diamenty.

— Och Kalladrionie, gdybym ufała Alcyfidesowi, życie byłoby może nie łatwiejsze, ale dużo mniej bolesne.

Przypadł do niej i położył dłonie na ramionach.

— Co się stało? Kto cię skrzywdził?

— Bogowie? Los? Przecież nie zasłonę się banalnym słowem: mężczyźni. Znowu zostałam porzucona, rozpadł się kolejny związek, w który wchodziłam z wielkimi nadziejami, a wychodzę poraniona, z potarganym sercem. Co we mnie jest takiego, że świat musi mnie ciągle krzywdzić? Co za klątwa otacza moją osobę, że nie pozwala nie tylko na sprawiedliwość, ale nawet zagina wszelkie prawdopodobieństwa. W końcu próbując tyle razy, powinno się wreszcie trafić na dobrego człowieka, prawda?

Kalladrion nie wiedział, co powiedzieć. Jej drobne ciało trzęsło się w jego ramionach od tłumionego łkania.

— Odjechał, dumny i wyniosły, nie zważając, że odchodząc stąpa po moim połamanym życiu.

Przejechał delikatnie dłonią po jej jedwabistych włosach. Czuł ciepło jej ciała i delikatny, oszałamiający zapach.

— Jestem pewien, że jest na świecie sprawiedliwość odnajdziesz swoje szczęście. Ale teraz muszę cię stąd zabrać. W Tal Kaladel nie jest dłużej bezpiecznie.

Wyrwała się gwałtownie. Na twarzy widać jeszcze było ślady łez, ale w głosie zadźwięczała stal.

— Nie sądzisz chyba, że dobrowolnie opuszczę najpotężniejszą fortecę w Tallendorze? Chronią mnie tutaj doborowe jednostki piechoty i najmisterniejsze zaklęcia.

— Lada chwila wokół Tel Kaladel pojawią się nekromanci. Powinnaś się już dawno udać do Sheged Arad.

— Och, pojawią się, założą pierścień oblężenia i pójdą dalej. Nawet

oni nie są tak szaleni, by próbować szturmować, nie zgromadziwszy wpierw całej mocy. Tel Kaladel nie jest dla nich najważniejszym celem, w przeciwieństwie do stolicy. Mogę się tutaj utrzymać rok, nawet dwa. Być może dłużej, jeżeli wojna będzie przebiegać niekorzystnie dla Dageratha i będzie zbyt słaby, by zaryzykować niepotrzebny szturm.

— Mogłabyś udać się na zachodnie rubieże.

— Podróż jest niebezpieczna, wszędzie wokół są nekromanci, jak sam powiedziałaś. Jeżeli kiedykolwiek dotrą na zachód Tallendoru, oznacza to, że moja ucieczka nie ma sensu. Jeżeli nie, znaczy też, że nie będą mieć siły, by ruszyć na niezdobyte mury Tel Kaladel.

— Rok, może dwa... — powtórzył jej słowa. — A potem? Pomyślałaś co z tobą się stanie?

— Tak. Albo do tego czasu mój ojciec wygra wojnę, albo nie będzie już królestwa. Wówczas... nie pragnę takiego życia. Urodziłam się księżniczką i nie zostanę niewolnicą.

Chciał powiedzieć, by poszła z nim, że zdoła ją ochronić, ale wiedział, że wtedy pojawią się iskierki drwiny w jej oczach, niewypowiedziane, kpiące „Doprawdy?”. Ale oczywiście nie powie mu tego wprost, jest zbyt delikatna, tylko uśmiechnie się z ledwie zauważalnym pobłażaniem, niczym matka, której dziecko przyniosło drewniany mieczyk i opowiada, że pokona kiedyś smoka. Zapomniał na chwilę, że to była Evalayn, córka królów — gdyby zapragnęła, chroniłaby jej całe armie. A nie jego żalosna zbieranina, z której połowa to pastuchy i rolnicy, którzy pikę wciąż uważali za kosę o wyprostowanym ostrzu i dziwili się, że każe się nią robić sztychy, a nie łuki.

Podniósł wzrok i spojrzał w bok, za dziewczynę, w zwierciadło wielkości człowieka w kunsztownej, wijącej się skomplikowanymi wzorami oprawie. Zobaczył siebie, w zbrudzonych pośpieszną podróżą szatach, nieumytego, nieogolonego, zapewne śmierdzącego końskim potem. W lustrze odbijała się sylwetka głupca, więc przestał nalegać, pożegnał się, owinął ciemnofioletowym płaszczem i odszedł.

Schodził powoli po zawieszonym nad przepaścią schodach. Otaczał go mrok nocy, z rzadka rozświetlany zygzakiem błyskawicy, która wydobywała z ciemności smukłą, wyniosłą sylwetkę Tal Marion górującą niepodzielnie nad okolicą, by za moment ukryć z powrotem i zostawić go na powrót samego, pogrążonego w nieprzyjemnych myślach.

A czego oczekiwał, szaleniec i głupiec, gdy decydował się na ten rajd

przez noc? Nic innego, jak własny obłąd może obwiniać za to, jak obrzydliwie się teraz czuje, wzgardzony i wyśmiany. Jakież zaćmienie umysłu trzeba mieć, by zostawić swe wojska przed bitwą i ruszyć sobie na wieczorną przejażdżkę w nadziei, że uratuje potrzebującą ratunku białogłową?

Jakież zaćmienie umysłu...

\*

Deszcz tworzył zwartą ścianę, hałaśliwą i brudną, zamieniał leśny trakt w błotny potok. Chmury zwisały tak nisko, że zdawały opierać się ciemnosinymi brzuchami o szczyty drzew, jednocześnie tworząc dywan otulający cały firmament. Nic nie przerywało dźwięku jednostajnie przelewającego się z nieba wodospadu; gęstwiny nie rozświetlała ani samotna błyskawica, ani promyk słońca zagubiony w prześwicie. Szarość i łoskot zdominowały świat, strugi wody chlastały liście niczym bicze.

Kilkunastu zbrojnych jeźdźców, z fioletowymi płaszczami przyklejonymi do ciał, rozdarło deszczową kurtynę z bryzgiem błota strzelającym spod kopyt ich wierzchowców. Metal zbroi przybrał szaroniebieską barwę, odbijając kolory otoczenia. Gałęzie drzew, objawiające się w ostatniej chwili przed ich oczami, wśród ulewy uderzały o pancerze niby drewniane miecze, szarpały przemoczonymi szatami niczym ożywione dłonie. Twarze jeźdźców były zacięte i złe, a oczy czujne, jakby za każdym zakrętem spodziewali się natknąć na śmierć.

Ale jednak zaskoczyło ich, gdy pojawił się następny zakręt, za którym czyhała śmierć.

Spojrzenie Kalladriona oceniało na chłodno rozgrywającą się przed nim scenę, podczas gdy pięty wbijały się w bok konia, spinając go do szarży, a dłoń wyszarpnęła klingę miecza. Oto przed nim może czterech zbrojnych jeźdźców i pięciu opancerzonych piechurów osłaniało się w chaosie bitwy przed szeregiem kołyszających się na stopach niczym marynarze podczas sztormu, nacierających nieustępliwie nieumarłych. Ludzie nie utworzyli szyku, wyraźnie ich zaskoczono, zmuszając do rozpaczliwej obrony; spulchniona ziemia w wielu miejscach była rozgrzebana, tworząc płytkie doły — z niektórych jeszcze wygrzebywały się jakieś brudne, odrażające istoty. Jeszcze więcej nadciągało spomiędzy drzew, w tak dużej liczbie, że przypominali drugi las.

Kalladrión wpadł niczym piorun między walczących, krótkim

cięciem miecza uderzając w kark jednego z truposzy. Poczuł na dłoni szarpnięcie, kiedy niesiona siłą końskiego rozpędu klinga przecinała gnijący rdzeń kręgowy. Przez chwilę zaskoczony omal nie wypuścił broni, potem wierzchowiec uderzył bokiem w drugiego przeciwnika rzucając go na ziemię, a głowa pierwszego podbita uderzeniem przefrunęła przed oczami Kalladriona rozsiewając wokół deszcz czerwonych kropel. Czas jakby zwolnił i mężczyzna zauważył nabrzmiały, spuchnięty jęzor wystający spomiędzy pośliskłych zębów, psujące się dziurawe policzki i nos bez końcówki, odstaniający ostre krawędzie kości.

Potem czas znów popłynął wartko jak strugi lejącej się z nieba wody i przerażony wierzchowiec Kalladriona stanął dęba, dwoma celnymi ciosami kopyt miażdżąc szczęki kolejnym truposzom i... wysadzając jeźdźca z siodła.

Uderzył z impetem plecami w błoto, rozbryzgując wokół ciemne fale i ślizgając się w wodnej brei. Poczerniało mu przed oczami, zaszumiało w uszach, zderzenie z ziemią wycisnęło powietrze z płuc. Odruchowo otworzył usta, by zaczerpnąć oddech, a strumienie deszczu natychmiast wypełniły je wodą. Obrócił się na bok, na przemian krztusząc się i plując. Wtedy właśnie wyczuł, że coś się zbliża. Uniósł głowę i dostrzegł nad sobą olbrzymiego nieumarłego o rozpadającej się twarzy i owionęła go fala smrodu, jakby ktoś rozbił koszyk dawno zgniłych jajek. Przez chwilę patrzył w zastygłe oczy tamtego, a potem dostrzegł w nich jakiś ruch — przez źrenice trupa wypełzł biały, wijący się robak. Truposz postąpił krok do przodu, pochylił się nad Kalladrionem, i sięgnął mu dłońmi do gardła, a ten nie mógł oderwać wzroku od pulsującego ciała robala, wierzącego się, jakby pragnął umościć sobie leże.

Niespodziewanie czaszka poczwary rozprysła się w krwawym rozbryzgu, rozłupana przez nagły, gwałtowny jak grzmot cios topora. Posoka i mózg rozprysły się wszędzie, brudząc mech, trawę i szaty Kalladriona; wierzchowiec uderzył w ziemię kopytami, gwałtownie zwalniając i chlustając błotem w oczy leżącego, a jeździec zrobił młynka bronią w powietrzu, gotów osłaniać lorda. Fala brudu przywróciła do reszty przytomność mężczyźnie, na tyle by zorientował się, że zgubił miecz. Chwilowo osłaniany przez konnego był w miarę bezpieczny. Kilka kroków dalej wrzała potyczka; docenił, że jego ludzie już wcześniej odrzucili bezużyteczne kopie i utrzymując w miarę zwarty szyk osłaniali

piechurów kordonem. Mieczami i toporami odrąbywali kończyny i miażdżyli czerepy. Deszcz nie przestawał padać. Truposze wychodzili z lasu nieprzerwanie.

Dwóch ruszyło w kierunku konnego osłaniającego Kalladriona. Ten nie czekał, uderzając piętami wierzchowca jednym skokiem znalazł się przy bliższym. Starli się: jeździec zamaszystym ciosem odrąbał sięgającą ku niemu rękę, rozbryzgując zlepione, czarne skrżepy. Przerażliwy trzask pękającej kości był niemal bolesny dla uszu. Na martwym nie zrobiło to większego wrażenia, uderzył krótką kończyną w koński brzuch. Ostry piszczel przedarł się bez wysiłku przez kropierz, lecz ze zgrzytem ześlizgnął się z widocznych w szczelinie rozdartego sukna gładkich blach ladry. Nieumarły stracił równowagę, rycerz wykorzystał ten moment i wprawnie rozrąbał mu czerep. Zaraz zawrócił ku drugiemu, który wciąż wlokąc się krok za krokiem, nawet nie odwrócił głowy, a już zdjęto mu ją z szyi.

Nagle ziemia obok Kalladriona poruszyła się, tworząc wypukły kopczyk. Strumieniami cały czas płynęły spore kawałki brudnego szlamu, dlatego lord nie od razu zauważył, że jedna, większa od innych błotna wyspa poczęła płynąć w jego kierunku. Wiedziony instynktem sięgnął po przytroczony do pasa sztylet, równocześnie próbując podnieść się jak najszybciej z ziemi. Nie zdążył. Kopczyk rozpadł się na jego oczach, odsłaniając wyłaniającego się spod ziemi nieumarłego. Twarz miał wykrzywioną jak do krzyku, jama ustna pozbawiona była warg i języka, spływała z niej swobodnie ślina, rękę wyciągnął zakrzywionymi palcami do góry. Kalladrion prawie już stał, gdy dłoń szarpnęła go za płaszcz, ściągając z powrotem w błoto. Odruchowo chlasnął po niej sztyletem, jednak mimo że był pewien, że naruszył ścięgna, uchwyt nie zelżał, a poczwara podpierając się drugą ręką zaczęła pełznąć ku leżącemu lordowi. Kalladrion w najwyższym przerażeniu rozpaczliwie wierzgnął, trafiając butem w głowę potwora i miażdżąc spróchniały nos. Ręka zaciśnięta na płaszczu nadal nie rozluźniła chwytu, ale głowę przeciwnika odrzuciło na chwilę do tyłu i spowolniło na tyle, by mężczyzna wymierzył teraz staranniej dwa kopnięcia prosto we wciśnięty w czaszkę nos. Wbijał pokruszone kości niczym wrzecionowate gwoździe w miękką tkanę mózgu, dziękując bogom za solidność podbicia własnych butów. Wreszcie podciął rękę, na której czołgający nieumarły opierał ciężar ciała, ten runął w błoto, a Kalladrion



korzystając z sekundy przerwy przykucnął i skoczył z wyciągniętym sztyletem. Wbił go głęboko w kark leżącego, przyszpilając go do podłoża. Odwrócił się i przygniótł własnym ciałem wydostającego się z ziemi przeciwnika. W szale uniósł broń i uderzał raz po raz, próbując rozłupać w ten sposób kręgosłup i odciąć głowę od drgającego kompulsywnie korpusu.

Wreszcie tamten zastygł, jakby wypełnił go od środka lód, odgłosy bitwy ucichały szybko. Nieumarli wycofywali się do lasu. Nawet ulewa się uspokoiła.

\*

— Jestem baron Gortmund z Wiellimille i dozgonnie wdzięczny za uratowanie życia — przemówił pokaźny, brodaty mężczyzna w złoczonej zbroi. Koło czterdziestki, o ogorzałej twarzy pokrytej siecią zmarszczek nosił się dumnie i bogato. Teraz pyszne szaty pokrywało błoto, z trzymanego pod ramieniem hełmu zwisał nędznie mokry, teraz skleiony w niepozorny kosmyk, zapewne wcześniej wspaniały pióropusz. Jedynie wspaniała zbroja nie straciła wiele ze swej doskonałości; ochlapana posoką i gnijącymi tkankami nie była tak wypolerowana i lśniąca, ale nadal przyprawiała o zawrót głowy znajdujące się na niej intarsje i ozdoby oraz kunsztownie cyzelowane elementy, stworzone raczej do ozdoby niż ochrony; wreszcie szlachetne kamienie wtopione w metal, tworzące zawiłe wzory, a na koniec — żłobione błyszczące litery i znaki.

— Komu mam przyjemność dziękować, czyim jestem dłużnikiem?

— Lord Kalladrion z Askazaaru. Nie masz u nas panie żadnego długu. Zwykła to przyzwoitość nakazuje pomóc bliźniemu w potrzebie. Zwłaszcza w tak ciężkich czasach, gdy umarli chodzą między żywymi po świecie.

— Nonsens. Naraziłeś pan życie i, jeżeli pozwolisz, panie, zaszczytem będzie nazywać tak odważnego męża swoim przyjacielem. Kazałbym na tę okazję otworzyć beczułkę najprzedniejszego wina, ale jestem w podróży, na dodatek muszę przyznać dość pośpiesznej. Dlatego zabrałem ze sobą tylko niezbędną eskortę i na dodatek — teraz to widzę — może poniechałem ostrożności.

— Co się tutaj wydarzyło? — zapytał Kalladrion, ściskając dłoń olbrzyma. Wokół nich żołnierze opatrywali rannych i zbierali rozrzucony ekwipunek. Trwał też pościg za niedobitkami truposzy w lesie. Przywódcy odeszli kilka kroków, by zgiełk nie przeszkadzał w

swobodnej rozmowie.

— Galopowaliśmy jak huragan przez las, gdy nagle dukt otworzył się pod końskimi kopytami i te potwory zaczęły wyłazić spod ziemi. Widocznie wykorzystali fakt, że gleba w trakcie deszczu jest bardziej miękka i zakopali się wcześniej, czatując w zasadzce. Płynąca woda zamazała wszelkie ślady, zresztą zacinało tak gęsto, że nie było nic widać na wyciągnięcie dłoni. Konie się spłoszyły — część staranowała truposzy, miażdżąc ich kopytami, ale ci sobie nic z tego nie robili. Większość rumaków jednak wierzgała i stawiała dęba, moi ludzie i ja sam pospadaliśmy na ziemię jak strząśnięte dojrzałe jabłka. Nosiliśmy ciężkie zbroje. Zanim moi rycerze zdobili zebrać się po upadku, już zostali przywaleni trzema, czterema truposzami, którzy zaczęli dobierać się do szczelin w pancerzach i hełmach. Wkładali w nie zakrzywione palce z długimi pazurami, zagłębiali w ciało i powoli zaczęli wyjadać ich żywcem. Szczęściem kilku moich opanowało wierzchowce i zdołało osłonić mnie i jeszcze siedmiu rycerzy do czasu, gdy zdołaliśmy stanąć na własnych nogach. Ale wtedy truposze zaczęli pojawiać się między drzewami i wytaczać się zewsząd z lasu. Otoczeni nie mieliśmy szans, i już tylko bogów błagaliśmy o pomoc, patrząc jak upada kolejny towarzysz, zabrany przez straszną śmierć, gdy wreszcie bogowie się zlitowali i zesłali ciebie.

— Nie bogowie, ale zwykła odpowiedzialność za ludzi w strefie, którą lada chwila obejmie wojna. Jechałem, by ostrzec Evalayn, księżniczkę krwi, córkę rodu de Virion przed nadciągającą falą zniszczenia.

— Zapewne, to tak jak ja... i zapewne także zawiodłeś w swej misji. Mnie się nie udało, a musisz wiedzieć, jestem niemalże jej narzeczonym. Przynajmniej tak myślałem o sobie, po tym jak jej podarowałem pięć kaset wypełnionych precjozami, jedynymi takimi na świecie, za które można by kupić całkiem spore miasto. Rubiny w kolorze jej rodu kazałem znosić nie inaczej, niż skrzyniami. Chciała spędzić tydzień nad morzem — nie ma sprawy, podarowałem jej tam zamek, ech, żeby tylko zapragnęła być tam ze mną... Gdy wspomniała, że lubi przejażdżki na świeżym powietrzu, za trzy dni stały w Tel Kaladel dwa rumaki najprzedniejszej krwi. Czy jednak mogę nazywać się jej narzeczonym? Tak sądziłem. Teraz wiem, że co najwyżej jednym z wielu adoratorów. Czy i ty byłeś w tej grupie? Jeżeli nie urażam pytaniem.

Kalladrion zmieszał się.

— Jestem jedynie jej przyjacielem.

— Pewnie że tak! Każdy chce być jej przyjacielem, przecież jest taka piękna. Na nic innego nie zostawia miejsca. My wszyscy nie jesteśmy jej godni i chociaż przychylamy jej nieba, ech... Daje nam odczuć na każdym kroku, że to za mało, że nie dość, że przy de Virion jesteśmy jak te robaki. Ma głębokie przekonanie, że naszym obowiązkiem jest spełniać każdy jej kaprys, zachcianki są jedynym słusznym prawem, odmowa — prawdziwą zbrodnią przeciw w jej tylko sposób rozumianej moralności. Wokół niej wytwarza się nowa przestrzeń znaczeniowa, wartości etyczne w których centrum jest ona sama. Wybacz panie, jeśli opowiadam nieskładnie albo zanudzam, w drodze powrotnej było nazbyt chłodno i byłem zły, więc wysuszyłem bukłak wina.

— Nie zanudzasz.

— O, pierwsze tygodnie były inne. Na początku próbuje się zdobyć kobietę, ale jest dystans, który — ma się nadzieję — wkrótce zniknie. A ona potrafiła tak rozkosznie się uśmiechać, tembr jej głosu stapał serce i sprawiał, że drżały nogi. A potrafiła być miła, jeszcze nie znudzona nową zabawką, jeszcze przyglądająca się jej i testująca. Więc starałem się, znosząc klejnoty i drogocenne wytwory najzdolniejszych rąk rzemieślniczych. Liczyłem, że dystans zniknie. Ona i jej sztuczki... sądziłem, że ją zdobywam, tymczasem owijała sobie mnie powoli wokół palca.

— Nie jesteś dla niej czasem nazbyt niesprawiedliwy?

Baronowi przyprowadzono konia, szczęśliwie odnalazło się kilka wierzchowców zagubionych w lesie, które nie padły łupem truposzy. W tym czasie Kalladrion odzyskał również swojego rumaka i miecz.

— Czas na mnie. Pogoda nie sprzyja konwersacjom, a nieumarli mogą wrócić w większej liczbie. Nadciąga wielka fala śmierci. Z każdą godziną robi się tutaj coraz bardziej niebezpiecznie, więc i tobie radzę znaleźć schronienie. Wierzę, że kiedyś dokończymy tę rozmowę, może w bardziej sprzyjających okolicznościach. Bywaj, Kalladrionie. Oby szczęście ci sprzyjało — wielkolud obrócił się w siodle i machnął ręką, równocześnie skłaniając konia do galopu. Wreszcie Kalladrion usłyszał rzucone na pożegnanie — nim woda zamazała jego sylwetkę i zagłuszyła — słowa:

— Mówisz, niesprawiedliwy, a tak jesteś pewien, że ją znasz?

Powiedz, czy ciebie również jak byle głupca zmusza do chodzenia po tych bezsensownych schodach?

\*

Magia budziła w nim kompleksy. Zwłaszcza w wykonaniu Evalayn; szlachetna krew płynąca w jej żyłach dawała jej dostęp to zdolności, o których nigdy nie będzie miał pojęcia. Wszystko, co związane było z Evalayn, wtłaczało go w bolesne poczucie niższości, ale magia najbardziej, bo wiedział, że nie zrozumie jej nigdy, była poza zasięgiem, niczym latanie dla ryby.

Konni bez trudu dogonili długi orszak, wlekący się w kierunku Samoth Del. Gdy chwilę odpoczął i wyjaśnił wojom, że osobiście przeprowadzone rozpoznanie okazało się sukcesem, bo udowodniło skuteczność nowo wprowadzonego opancerzenia dla koni, oraz nagrodził i awansował rycerza który uratował mu życie, udał się na rozmowę z Anathelem.

— Pytasz Wasza Dostojność, czy magia może przydać się w bitwie — odezwał się mężczyzna w masce. — To bardzo skomplikowane pytanie, bowiem zależy to od tego, jak jej użyjesz. Ogólnie rzecz ujmując, większość fachowców zarówno z dziedziny wojennej, jak i studiujących arkana zgadzają się, że znaczenie czarów jest raczej niewielkie.

— Co mówisz...? Potraficie na zawołanie rzucać kulami ognistymi lub wywoływać płomienne burze.

— Nie wszyscy, tylko bardziej utalentowani, a naprawdę solidna ognista kula wymaga dużo energii... Oznacza to, najkrócej mówiąc, że można rzucić najwyżej kilka, potem przez pewien czas należy odpoczywać. Najlepiej w ciemnym, cichym pomieszczeniu.

— Ale przyznasz, kilka ognistych kul może zmienić wynik bitwy.

— Tyle że ten sam efekt otrzymasz Panie, używając powiedzmy czterech katapult ze wzbogaconą oliwą, którą dostarczyłem na twój rozkaz. A załoga katapult męczy się wolniej i nie wymaga wieloletniego szkolenia. Przeprowadź Wasza Dostojność myślowy eksperyment, co byś wolał mieć naprzeciw ciężkozbrojnych piechurów. Czy dziesięciu adeptów czarnoksięstwa biegłych w magii błyskawic — celowo wybrałem dziedzinę, która pozwala penetrować zbroję — czy raczej tyle samo wyszkolonych kuszników? W pierwszej chwili może magowie powalą więcej wrogów, bełty mogą ugrzęznąć w tarczach bądź fatalnie chybić, a jedna błyskawica może pokąsać kilku ludzi. Ale z bełtem w

bebechach raczej nie pójdzie się dalej, natomiast po szoku elektrycznym część porażona słabszym ładunkiem będzie mogła wstać i dalej walczyć.

— Czyli efekt będzie w przybliżeniu taki sam?

— Magowie szybciej się zmęczą, czyli „wyczerpią amunicję”. Ponadto ich szkolenie zajmuje wiele, wiele lat. Tak banalne używanie ich podczas wojen jest marnotrawstwem. Naprawdę zmienić wynik bitwy mogą jedyne najwięksi magowie zdolni zrzucić meteor z niebios, ale z potęgami rzadko ma się do czynienia.

— Powiniennem się zatem martwić magią nekromantów?

— Nieszczególnie. Większość z nich zajmuje się kontrolą nad truposzami. Można powiedzieć, że wydają im rozkazy, dzięki czemu ta horda chodzącego zgniłego mięsa trzyma się jakoś razem i jest zdolna do choćby częściowo skoordynowanych działań. Opanowanie takiej liczby nieumarłych absorbuje całą ich energię, nie sądzę by ktokolwiek z nich miał czas i ochotę by bawić się w jakieś czary.

— A Lisz? Co jeżeli trafimy na lisza?

— Dagerath Val Kaldol dysponuje niepojmowalnymi mocami. Módlmy się, żeby nie wyszedł ze swego zamczyska, Dar Magoth, o mrocznych murach i ponurych wieżach.

— Mam jeszcze jedno pytanie...

— Jakże określnymi drogami próbujesz się dowiedzieć, Kalladrionie. Pytasz o strategię i taktykę, bo przecież wprost nie powiesz...

— Tak, wasza dostojność?

— Przepraszam, zamyśliłem się. Otóż mam pytanie, czy istnieje możliwość, żeby dostać się ergh, do hipotetycznej, wysokiej wieży inaczej niż egrh, po schodach?

— Co najmniej kilka. Do najbardziej efektywnych zaliczyłbym zwykły portal. Mówię zwykły, z punktu widzenia teorii, bo to dość kosztowna zabawka. Osobom znającym sekret pozwala wygodnie przechodzić między dwoma takimi miejscami.

— Jak taki portal może wyglądać?

— Zwierciadlana konstrukcja wielkości, powiedzmy, człowieka.

## VI

Dombartheley, pan na Samoth Del lubił bogate stroje. Na spotkanie wyszedł w purpurowym płaszczu, barwach jego rodu, z wyszytymi złotymi liliami. Powyginana w kilku miejscach zbroja została pokryta czarną emalią, zapewne nie dalej niż przed kilkoma dniami. Na prawej piersi metalurg umiejętnie umieścił złotą czaszkę; ozdoba przypominała wykonaniem zwykłą toporność herbów nekromantów. Rysy feudała raziły nieregularnością; częściowo przykrywała to bujna czarna broda o posiwiiałych końcówkach. Kalladrion słyszał, że owa skaza w symetrii była wynikiem złamania kości szczęki po uderzeniu toporem, Dombartheley został ocalony w sposób, jak mawiał — podwójnie cudowny. Najpierw — przez ciężki hełm, który zawsze zwykł nosić w boju, następnie przez szybko sprowadzonego wyjątkowo utalentowanego medyka, jednak pęknięta żuchwa nie zrosła się jak należy. Przesadnie bujna broda kryła również pajęczynę blizn, których to właściciel nabawił się podczas długiego awanturniczego życia; dwie z nich wyłaniały się z gęstwiny, bruźdząc twarz aż pod oko. Już wcześniej należał do niespokojnych duchów, i Kalladrion cieszył się, że jego prowincja nie graniczy bezpośrednio z ziemiami Dombartheleya, watażka często bowiem doprowadzał do zatargów z sąsiadami i większość z nich kończyła się przelewem krwi. Kilkakrotnie król zasądził wypłatę odszkodowania, ale daleko więcej razy udało mu się orężem lub groźbą wymusić całkiem imponujące sumy. Stać go było, by utrzymywać liczną i bitną armię, zresztą też dzięki podbojom właśnie do skarbcza trafiało tyle dochodów. Samoth Del stał się wprost wymarzoną sojusznikiem dla Dageratha Val Kaldola, nieumarłego lisza, który zapragnął skąpać cały świat w chaosie.

Gdy doniesiono mu, że Kalladrion zbliża się prowadząc znaczne siły, zamknął się w murach potężnej twierdzy, wyraźnie dając znać, że nie spieszy mu się do konfrontacji ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem. Kalladrion kazał założyć pierścień oblężenia, następnie najsolidniej jak się da ufortyfikować obóz, nie życzył sobie żadnych niespodzianek. Wiedział dobrze, że jeden nocny rajd wyszkolonych gwardzistów Dombartheleya mógłby, wykorzystując efekt zaskoczenia, z

powodzeniem rozproszyć połowę jego armii. Solidny drewniany częstokół, który opasał podwójnym pierścieniem Samoth Del, zniechęcał skutecznie do brawury.

Gdy tylko rozłożono obóz, wysłał posłów z wiadomością, że chce rozmów; spotkanie zaplanowano na łące w odległości strzału z łuku od bram fortecy. Dombartheley wystąpił w pełnej zbroi. W rękę obracał kosztowny łańcuch o połączonych ogniwach; za każde z nich mógłby pewne kupić wieś. Choć przekroczył czterdziestkę, nadal jego ciało nie straciło płynności ruchów; wielki i umięśniony przypominał gotowego do szarży rozjuszonego niedźwiedzia. Wyższy od Kalladriona patrzył na niego z góry i ze źle maskowaną pogardą.

— Dlaczegoż miałbym przyłączyć się do twojej armii, dostojny Kalladrionie? Skąd to dziwne żądanie, bym dochował wierności Jego Wysokości? Widzisz, ja przyłączam się do zwycięzców, nie do zbieraniny spłoszonych pasterzy owiec, natomiast de Virion pierwszy mnie porzucił, obstawiając legionami tylko i wyłącznie centralne prowincje. Mam sobie sam radzić, proszę bardzo, radzę sobie. Ani królowi, ani tobie nic do tego. Co uczynisz? Poślesz tych pastuchów do szturmów? Przecież uciekną po pierwszej salwie moich łuczników. Do nocy trzeciej części z nich nie pozbierasz, chyba że wliczysz świeże ciała leżące na przedpolu.

— Stań przeciw tym pastuchom w polu. Chyba że... tchórzysz?

— Daj spokój, nie jestem dwudziestolatkiem o zapalczywej głowie, nie sprowokujesz mnie obrazą ani łechtaniem ambicji. Sądziłem, że spotkało się dwoje rozsądnych, inteligentnych ludzi i proszę, nie wyprowadzaj mnie z błędu. Nie zamierzam się niepotrzebnie wykrwawiać na bezsensownych potyczkach. Armia nekromantów wkrótce tutaj będzie i obaj o tym wiemy. Załóż oblężenie, proszę bardzo, po trzech dniach będziesz musiał zwinąć je z powrotem.

— Po dwóch będą tu królewskie legiony.

— Obrażasz moją inteligencję. Po raz wtóry. Powiedzmy sobie szczerze, po prostu wolisz rozłożyć się obozem tutaj, niż ruszać na nieumarłych i wcale ci się nie dziwię. Bo wbrew temu co o mnie mówią, jestem mniej straszny od nich. Chyba. Przyprowadziłeś swoich pastuchów pod Samoth Del, dzięki czemu udowodniłeś, że wystąpiłeś zbrojnie po stronie króla. Sam na twoim miejscu uznałbym to za znakomity pomysł. A po trzech dniach wycofasz się i nikt nie będzie miał pretensji. Tylko ja mam dla ciebie lepszy pomysł. Lepszy niż trzy dni

bohaterstwa, po których czeka cię haniebnny odwrót, który zamieni się w nieskoordynowaną ucieczkę, ledwo poczujecie trujące wyziewy nekromantów na swoich plecach. Przyłącz się do mnie. Razem stworzymy znaczną potęgę i Dagerath będzie musiał się z nami liczyć. To możny pan, który potrafi się odwdzińczyć. Dostaniemy pół królestwa, rękę księżniczki, a znając jego poczucie humoru — może i nogę z kawałem flaków. Nikt nie lubi tej suki z księżycowego zamku. Och, nie udawaj zaskoczenia, Tal Marion jest tak blisko, że widać je z najbliższego wzgórza, sądzisz że nie wiem, iż jesteś tam częstym gościem? Co, chcesz ją mieć dla siebie żywą? Pogadam z lizem.

— Twoja propozycja obraża moją lojalność w stosunku do miłościwie nam panującego Hamodeneusza de Virion.

— Daj spokój temu dziadkowi. Właśnie przechodzi na karty historii. Przyłącz się do nas i razem napiszmy nową.

Kalladrion poczuł gorąco na karku i plecach. Popatrzył na niebo. Chmury się już wypadały, wiatr rozwiął resztki na cztery strony świata. Słońce niepodzielnie królowało, mokra trawa parowała pod wpływem ciepłych promieni, wypełniając jego nozdrza intensywnym zapachem.

Dombartheley zmrużył oczy, przyszło mu stać pod światło.

Kalladrion nie wierzył w przeczucia.

\*

Nocą podróżują nieumarli, myślał Kalladrion, przedzierając się przez gęstwinę, prowadząc ogromną armię przez las. Księżyc srebrzył pancerze otaczających go zbrojnych jeźdźców, dodawał blasku zmęczonym oczom. Właśnie, oczy — gdy lord obejrzał się, zobaczył za sobą setki błyszczących punkcików — jakby ciągnęło za nim całe niebo gwiazd. Ludzie, którzy w niego wierzyli, których prowadził na śmierć.

Kalladrion zostawił w obozie całą służbę, a nawet mimo protestów możnowładców — markietanki i kucharzy. Również wszystkich rycerzy, których wartość bojowa była bardziej niż problematyczna, czy to z braku wyszkolenia czy szkoleniu w broni kłutej. Zwłaszcza kazał rycerzom zostawić wszystkie piki, włócznie, a nawet pociąć kije w lesie. Teraz, gdy najlepsze wojska Kalladriona idą przez mrok, każdy ciura obozowy i każdy rycerz siedzi przy osobnym ognisku, a ognisk jest tysiące. Jutro markietanki będą biegać trzymając wysoko kije od mioteł. Do każdego osła i muła przyczepią z tyłu gałęzie. Czy chmara kurzu i kije nad częstokołem starczą, by symulować przemieszczanie ciężkozbrojnych



kopijników? Czy chłopcy z pikami stworzą wrażenie przegrupowujących się kwadratów piechoty? W tej chwili zamek Samoth Del był okrążony przez dwukrotnie mniejsze siły, niż dysponowali obrońcy, nie mówiąc już o brakach w wyszkoleniu oblegających.

Gdyby Dombatheley zdecydował się na atak, skutki byłyby opłakane. Ale ludzie zazwyczaj nie potrafią wyjść poza własne ścieżki rozumowania, a własne motywy widzą w zachowaniu innych. Dombatheley przypisywał Kalladrionowi oportunizm, chęć wywoływania wrażenia teatralnymi gestami, zaś w istocie — chęć wstrzymania się z ryzykownymi czynami. Sądził, że potrafi przewidzieć zachowanie Kalladriona, bo mieściło się w jego pojęciu racjonalności. Dlatego nie przyjdzie mu do głowy, że lord może rzeczywiście ruszyć do samobójczej konfrontacji z lizem. Dombatheley sam nie ma przecież żadnego interesu w wykrwawianiu się w niepotrzebnej, nieprzynoszącej łupów potyczce. W istocie oblężenie było wygodnym prezentem od losu, można było łatwo wytłumaczyć się nekromantom z braków działania, na które zawsze przecież przyjdzie czas gdy sytuacja militarno-polityczna do reszty się wyklaruje. Po co się spieszyć? Czas działał na korzyść Dombatheleya.

Bohaterstwo jest takie niedochodowe, prawda?

Pomyślał o bogatych strojach możnowładców, z którymi rozmawiał w ciągu ostatnich kilku dni i przez krótką chwilę znów poczuł się gorszy. Zarówno Gortmund jak i Dombatheley

wdziewali stroje wprost kapiące od złota, dumni posiadacze rodowych majątków. Złoto od dzieciństwa kształtowało ich charakter, obnosili się z nim dumnie i wyniośle, jakby udzieliło im swego blasku. Kalladrion, który starał się dobrze zarządzać przydzieloną prowincją, i liczył z każdym mieszkaniem monet, czuł się niekiedy jak buchalter albo lepszy kupiec. Nigdy już nie będzie do nich pasował, pomyślał. Nawet jak kiedyś będzie bogaty, mam już charakter wyrzeźbiony przez zwyczajność. Taki właśnie jestem, zaklęty w szarość, skazany na nudną, zwyczajną egzystencję, która będzie przewidywalna do bólu. Nic dziwnego, że Evalayn wykpiła moje nieudolne próby niesienia jej pomocy. Gotowi służyć jej są tacy ludzie jak Gortmund, a pewnie zna i potężniejszych.

Tymczasem on oddał kupcom wszystkie meble z Askazaaru w zamian za broń. Jego żona pozbawiła się biżuterii, żeby można było wykucić kilka pancerzy więcej w nadziei, że zatrzyma to nawałę

nieumarłych. Plony, które można by sprzedać, poszły na aprowizację dla armii, innej nie będzie, bo chłopów spędzono z pól i skierowano w jeszcze bezpieczne zachodnie rejony.

Nawet gdy wygram tę wojnę, wrócę do pustych ścian. I spojrzę w oczy moim bliskim oraz tym, którymi przysiągłem się opiekować i będę musiał powiedzieć im, że ich zawiodłem. Że nie zdołałem uchronić ich przed biedą.

Noc, pora liszy i nekromantów, rodziła w bólach coraz czarniejsze myśli.

\*

Nadciągęli z północnego wschodu, ciemną lawiną wojska, bezkształtną, ścielącą się po ziemi niczym gigantyczny jęzor jakiegoś monstrum. Wydawali zwierzęce pomruki, niektórzy szczękali metalem zbroi, większość jednak wydawała gardłowe dźwięki, przypominające wymioty. Wschodzące słońce wydobywało z mroku ich popielate, zsiniałe twarze, rany na torsie, których niezabliźnione brzegi wydeły się niczym wargi, pomiędzy którymi czerniły się zakrzepy krwi i fioletowo-czerwone mięso.

Wiatr. Ważny był wiatr.

— Wieje w kierunku północno zachodnim. Musimy przesunąć się bardziej na wschód.

Kalladrion wydał rozkazy. Z przyjemnością patrzył, jak gładko przesuwały się równe czworoboki piechoty i lśniące stałą kolumny jezdnych. Z niepokojem zauważył, że nieprzyjaciel reaguje na ich manewry, otwiera natarcie szerokim frontem, próbując równocześnie wysunąć część wojsk od strony zachodniej, by odciąć najbardziej prawdopodobną drogę odwrotu. Gratulował sobie decyzji pozostawienia gorzej wyekwipowanego wojska pod Samoth Del. Gdyby teraz oddział chłopów zahaczył o nadciągające skrzydło armii nieumarłych, skutki mogły być opłakane. Tymczasem zdyscyplinowane i sprawne wojsko wykonało manewr bez większych trudności, unikając zwarcia z dużo wolniejszymi truposzami.

— Jesteśmy na pozycji, Wasza Dostojność.

Kalladrion ledwie spojrział na raportującego rycerza.

— Powolny odwrót, nie burzyć szyku, w kierunku południowo-wschodnim. Starajcie się cały czas utrzymać ten sam dystans od nieprzyjaciela.

Teraz wiele zależało od tego, czy nekromanci ruszą za armią ludzi. Jednak sztabowcy Kalladriona zakładali że tak, raz zwietrzywszy źródło pożywienia, będą wytrwale za nim podążać dzień i noc.

Tymczasem wystarczyło kilkaset metrów. Słoma dobrze się wysuszyła na słońcu. Teraz każdy z wycofujących się rycerzy rzucał nasączony ulepszoną oliwą wiecheć pod stopy. Żadna ludzka armia nie wkroczyłaby na coś takiego, ale bezmózgie bestie o zdegenerowanych przez rozkład zmysłach parły do przodu. Problemem mogli być jedynie nekromanci, oraz elitarne oddziały ludzkich najemników, ale ci trzymali się zwykle na tyłach.

— Niczego się nie spodziewają?

— Sądzą, że się wystraszyliśmy. Dotąd każda armia ulegała potędze lisza. Są bardzo pewni siebie.

Kalladrion skinął głową, wspominając swoją rozmowę z dumnym vel'Serashem. Na to zaufanie nekromantów we własną potęgę bardzo liczył.

A jednak nieprzyjaciel coś najwyraźniej zauważył. Gdzieś, straszliwie głęboko w szpalerach nacierających truposzy, szereg zburzył się i skotłował. Nekromanci całą swą nieumarłą magią dawali rozpaczliwy rozkaz „cała w tył”.

Lord rozkazał zatrzymać dotąd wycofujące się wojska. Patrzył, jak na jego rozkaz rozgorzała setka ognisk pośpiesznie wznieconych z pochodni. Przy każdym ognisku stało pięciu strzelców — teraz sprawnie nałożyli na ciężki długie strzały, o grocie zakończonym ostrym szpikulcem i przebicciem, przez które przewiązano polane dziegiem skrawki szmat, tak by owijały się ciasno wokół brzechwy. Na chwilę schylili łuki przed ogniskami, następnie wyprostowali się, kierując broń w niebo, a w lśniących płytowych karwaszach odbijały się żarłoczne języki płomieni.

— Wyślijcie ich prosto do piekła!

Pięć setek iskier popłynęło po nieboskłonie. Druga salwa poszła śladem pierwszej, gdy pierwsza pięćsetka przestała się wznosić i przez moment jakby zastygły, niby dodatkowe płomienne gwiazdy, aż nagle zapikowały na dół niczym lśniące, mieniące się złotem szerszenie które z wizgiem cięły powietrze wokół nadciągających nieumarłych. Wystrzelono trzecią salwę, gdy pod nogami truposzy rozgorzał pożar.

Wyschnięte szaty i włosy zajęły się pierwsze.

Tymczasem rycerze trzymający łuczywa ustawili się za rzędem ognisk, pozwalając odpalać strzały od żagwi kolejnym dziesiątkom łuczników.

— Niech nasi ludzie złączą składać katapulty. Niech się pospieszą.

Palące się formacje nieumarłych tworzyły wstrząsający widok. Truposze nie czuli bólu; mimo że wielu z nich wyglądało niczym chodzące pochodnie, gotowi byli dalej przeć naprzód. Inni, do których dotarło rozpaczliwe wołanie ich panów, próbowali zawracać, zderzając się z następującymi ich po piętach towarzyszami, jeden od drugiego zapalał się a wszystkiego dopełniał wiatr, rozniecający ogień dalej po wyschłej trawie.

Kalladrion dziękował bogom, że wiatr zabierał ze sobą smród palącego się przegniłego mięsa. W milczeniu obserwował tragiczny spektakl. Patrzył, jak powoli dopala się niczym spróchniały las awangarda wrogiej armii.

Pchnął do natarcia zwarte kolumny piechoty. Trawa na stepie płonie szybko, ale równie szybko się wypala i można bez obaw przejść obutą nogą. Rycerze szli krok za krokiem, twarze mieli blade i zacięte, deptając po tłących się kościach wrogów. Wschodzące coraz wyżej słońce malowało różem napierśniki, a masywne ostrza toporów stały pomarańczowe rozbłyśki.

Kalladrion przesunął konnicę. Ciężkie chorągwie oderwały się od głównych sił, powoli zataczając szerokie łuki. Zajmowały dogodnie pozycje do manewrów oskrzydających.

Czuł się, jakby grał w dziecienną taktyczną grę planszową. Tak działał jego umysł, skoro pojawiał się problem, zwoje nerwowe pracowały tak długo, aż znalazł satysfakcjonujące rozwiązanie. Nowy rodzaj wroga? Proszę bardzo, jego mózg wypluł szereg najbardziej prawdopodobnych sposobów na zneutralizowanie zagrożenia. Teraz patrzył, jak z przerażającą precyzją realizuje się na polach przed nim wynik równania, rezultat ostatnich tygodni obliczeń. Rozumiał teraz uczucia architektów, obserwujących jak katedra, rezultat wielu miesięcy matematycznych igraszek umysłu i rysowania planów na papierze staje się rzeczywistością, wytrzymującą nacisk niewyobrażalnych ilości kamienia oraz uderzenia huraganów.

A równocześnie gdzieś pod powierzchnią tych wszystkich obliczeń dławił się od strachu. Chyba napięcie rozsadziłoby go od wewnątrz,

gdyby umysł nie był cały czas zajęty przesuwaniem wojska, jak nauczyciel — wypisywaniem kredą na tablicy ostatnich znaków równania. Była to mechaniczna, bezlitośnie zdeterminowana zmiennymi wyjściowymi praca. Wdzięczny był losowi, że okazałe rękawice ukrywają delikatne drżenie rąk, gdy wydawał rozkazy i że nie widać, jak ohydnie potnieją wnętrza dłoni. Pancierz nie tylko chronił go od wrogich strzałów, ale trzymał w ryzach hałas serca, rozbijającego się po klatce piersiowej, blokował choć częściowo smród koszuli, wilgotnej pod pachami, jakby kąpał się w rzece.

Bał się. Panicznie bał się, że pomylił coś haniebnie w obliczeniach. Przegra, nie uwzględniając wszystkich istotnych zmiennych. A może z głupiego przemęczenia i nieuwagi zamienił już dawno wcześniej jeden minus na plus.

Przegra. Życie to nie matematyka. Nie da się nią objąć potęgi lisza, czarnej magii i ruchów wojsk.

A jednak wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przewidywalnie, jak naprężająca się sprężyna, zmuszająca mechanizm do działania.

Tyle że to nie mechanizmy będą za chwile ginąć, lecz ludzie, którzy mu zaufali. Mogli odejść, uciec, znaleźć schronienie...

Albo lepszego, mniej zadufanego w sobie dowódcę.

Co z tą artylerią? Kalladrion znów patrzył na chorągwie jazdy, przesuwane się powoli niczym figury na szachownicy. Widział, jak równe rzędy piechoty zderzają się z jeszcze kotłującymi się hordami truposzy. Daleko za nimi wleką się bezużyteczni łucznicy, broń trzymają opuszczoną, zbędny odwód.

Jeszcze dalej, w blasku wznoszącego się coraz wyżej słońca, widział ciężkie wozy taboru nieumarłych, zapewne niegromadzące zaopatrzenia, gdyż to potrzebne było tylko dla wciąż trzymanej w odwodzie jazdy najemników. Oczy lorda spoczęły również na górującym nad szeregami nekromanckim sztandarze. Dumny, irracjonalny zwyczaj oznaczający pozycję dowódcy jak na strzelnicy.

— Katapulty gotowe do strzału, wasza dostojność.

— Skoncentrujcie cały ogień na wozach z aprowizacją.

Pierwsza salwa upadła za blisko, garńce z płonąca oliwą rozpadły się na głowach falującej rzeszy nieumarłych, a niektóre fatalnie poparzyły nacierającą piechotę ludzi. Ludzie wrzeszczeli tak, że ten podobny potępionym bestiom ryk bólu dotarł do Kalladriona i zmroził

jego serce poczuciem winy.

Nekromanci odpowiedzieli na ostrzał własną magią; dwie szmaragdowe błyskawice wystrzeliły spod proporca z trupim czerepem i uderzyły w pierwszy szereg toporników, odrzucając ciężkozbrojnych mężów na sporą odległość. Jego ludzie szybko się przemieścili, zatykając luki w szeregach, jakby nie bacząc na okrutny los, jaki przypadł w udziale ich kolegom.

Artylerzyści włączyli się do walki. Kolejna seria zrosiła płonąca oliwą już tylko wrogą armię, wokół wozów, a z trzeciej kilka pocisków spadło na pokryte płótnem dachy, które momentalnie zajęły się ogniem. Zaczęło się brzydko kopcić i przejrzyste powietrze poranka zamgliło się i zafalowało. Dym, który uniósł się nad płonącymi wozami, był siwozielony. W miarę jak ogień żarłocznie pożerał zawartość przewożonych pakunków, gęstniał i rozciągał się coraz szerzej na niebie.

Elitarne legiony służące liszowi zbyt późno zorientowały się w niebezpieczeństwie. Pierwszy padł koń, z żałosnym kwikiem i pianą na pysku, zwalając na ziemię rycerza w pełnej zbroi. Potem zaczęli wymiotować jeźdźcy. Kto mógł, zawracał wierzchowca i ratował się rejteradą poza zasięg zabójczego gazu. Nawet proporzec nekromantów, otoczony teraz migotliwą ochronną poświatą, zmienił swe centralne położenie na tyłach armii, i zaczął przesuwać się łukiem na południowy zachód, by zejść z linii trującego wiatru, zbliżając się tym samym do pozycji oddziałów ludzkich.

— Katapulty! Łucznicy! Cały ogień na proporzec z trupią czaszką!

Kalladrión spojrział na zachodnią część swojej jazdy, która zajęła pozycje na tym skrzydle sił nieumarłych, gdzie teraz znajdował się bombardowany ognistym deszczem proporzec.

— Konnica do ataku!

Zaśpiewały rogi wojenne i powoli z majestatycznym narastającym łoskotem zbliżającej się burzy ruszyła kawalkada pancernych jeźdźców. Dobyli lśniących mieczy, których połyskliwe klingi mieniły się niczym błyskawice. Łopocząc fioletowymi płaszczami wdarli się głębokim klinem w bok armii nieumaryłych, sięgając doborowych gwardzistów strzegących nekromantów. Proporzec z trupią czachą zachwiał się i upadł.

\*

Nowe uzbrojenie sprawdziło się znakomicie. Piechota w zwartym

szyku poruszała się powoli do przodu. Nieruchawe truposze okazały się łatwym celem, podpróchniałe czaszki pękały pod toporami niczym melony. Największym problemem okazało się tylko sprawne przegrupowywanie, by zmęczonym rycerzom pozwolić wypocząć na tyłach. W istocie choć bitwa trwała wiele godzin, przyrównywano ją do wyrębu lasu.

Bowiem tuż po upadku proporca wielki mistrz nekromancji został zabity, sztabowcy Kalladriona szacowali później, że z kilkunastu jego pomniejszych adeptów zaledwie dwóm albo trzem udało się salwować ucieczką, najprawdopodobniej zresztą oni również zostali poważnie ranni. Widząc upadek swych panów i klęskę zagrażającą głównej armii, elitarne oddziały najemników wycofały się na wschód, rezygnując z walki. Tymczasem truposze pozbawione kontroli popadły w chaos, niektóre nadal szły na pracujące ze śmiertelną mechaniczną precyzją migotliwe ostrza toporów, inni przeciwnie — parli w przeciwnym kierunku, najwięcej zaś zaczęło rozłazić się bez celu; ci zostali bezlitośnie wytępieni przez konnicę. W istocie do jazdy należała końcówka bitwy, tropili ostatnich zagubionych na pustkowiu nieumarłych do samego zmroku.

Zwycięstwo było totalne i odniesione niemal bez strat.

Następnym razem nie pójdzie tak łatwo, pomyślał Kalladrion. Lisz nie podaruje mi utraty tylu uzdolnionych nekromantów. Następnym razem nie będą tak pewni siebie. Wiedzą, że znam ich słabe punkty i potrafię ich zabijać, więc znajdą sposób, by się zabezpieczyć.

Następnym razem...

Ale póki co, unicestwiłem ich potężną armię!

W obozie rycerze mówili, że Kalladrion jest księciem światła z przepowiedni. Że uratuje świat przed wieczną ciemnością. Tymczasem on nie czuł w sobie ani odrobiny magii, ani krztyny mistycyzmu. Tylko okrutne, wszechogarniające zmęczenie i wychylający się niczym zły sen spod dziecięcej poduszki paniczny lęk, którego nie mógł nikomu pokazać.

Książę światła, dziecię blasku.

Właśnie wydał na siebie wyrok?

\*

Bitwa pod Tagaris Hen zmieniła losy tej wojny. Ofensywa nieumarłych została zatrzymana. Większość przygranicznych feudałów oddało swe wojska pod dowództwo Kalladrionowi, wybawicielowi,

Księżciu Światła. Ogarnęło ich w tym dziwne szaleństwo — jak wcześniej byli sparaliżowani terrorem nekromantów, tak teraz przeszli do nieuzasadnionej euforii. Na wieść o zwycięstwie i zawiązującej się olbrzymiej armii, Samoth Del się poddało, a wojska Dombartheleya przyłączyły się do sprzymierzonych feudałów. Szerokim frontem zaczęto wypierać wroga z granic Tallendoru, doszło do dwóch pomniejszych bitew, w których rozbito oddziały truposzy, które nie zdołały wycofać się na czas. Lisz czując, że odwróciło się od niego szczęście, nie pragnął konfrontacji, ale nie chciał jej też Kalladrion, świadom że doskonale wyszkolony i wyposażony jest jedynie trzon jego sił, i całą sztuką teraz było przerzucanie elitarnych jednostek na potencjalnie zapalne odcinki. Zwarcie w każdym innym miejscu mogło zakończyć się katastrofalnie i dostarczyć wrogom opancerzonego rekruta.

Gdy oczyszczono granicę, ruszono również na północ, gdzie niemal już spod Sheged Arad pośpiesznie wycofywała się inna olbrzymia armia nieumarłych, bojąc się okrażenia i unicestwienia. Nekromanci osłaniając odwrót poświęcili tylną straż, pozwalając jednego słonecznego popołudnia wyrznąć doborowym topornikom Kalladriona kilka tysięcy truposzy.

Lisz wycofał wszystkie swe armie. Wojna była wygrana.

\*

Drugie przybycie posła nekromantów do Askazaaru nie było już tak efektowne. Może ludzie przywykli do oręża, bo zamek był od kilku miesięcy najważniejszą bazą wojskową na wschodzie królestwa i widok trzydziestu opancerzonych rosłych najemników tworzących straż przyboczną dyplomaty na nikim nie robił wrażenia. Nie pomagało też ustawienie dwóch szpalerów pikinierów, tworzących zwarty korytarz od bram miasta do dziedzińca zamkowego. Sam Kahezaar vel'Serash, choć pysznił się tą samą kosztowną zbroją i dosiadał niezwykłego wierzchowca, za drugim razem nie miał już poprzedniej aury niesamowitości. Dziw oglądany po raz wtóry powszednieje, i ludzie dostrzegli, że kirys jest tu i ówdzie wklęsnięty, hełm sfatygowany, natomiast pajęczak na niektórych odnóżach ma wypalone włosy — najwyraźniej brał udział w bitwie i znalazł się nieopatrznie w pobliżu ognistej kuli.

Kalladrion przyjął posła w tej samej komnacie co ostatnio, tylko ugościł przedniejszym winem. Mimo że oczyścił piwniczki i skarbiec, gdy



musiał wyposażyć armie Askazaaru, to teraz nie zbywało mu na niczym, bo okoliczni wielmoża prześcigali się, kto zdoła ofiarować hojniejszy dar.

Kahezaar vel'Serash odziany był jak zwykle w kosztowną czerń przeszywaną fioletowymi nićmi, które zdawały się świecić własnym blaskiem. Mówił z arystokratycznym akcentem, wyniośle i dumnie:

— My, nieumarli, jesteśmy finalną postacią ewolucji człowieka. Prześledź naturalną linię rozwoju — najpierw jest płód, który staje się noworodkiem; kilkuletnie dziecko jest już doskonalsze, bo inteligentniejsze i lepiej przystosowane. Ono musi oddać prymat wyrostkowi, a ten z kolei jest mniej rozwiniętą strukturą niż dorosły. Wszystkie te formy są uszeregowane od najmniej, do najbardziej rozwiniętej. A co jest dalej na tej linii? Śmierć. Śmierć jest ostatnim, naturalnym etapem ewolucji, fazą — jak nietrudno wywnioskować — *najdoskonalszą!*

Kalladrion wziął w dwa palce wyborną oliwkę. Przez chwilę delectował się jej smakiem, udając zdecydowanie nienachalnie zainteresowanie wywodem gościa. Tym razem postrzegał go zgoła inaczej. Niezwykła bladość skóry i fioletowe żyły nie były już znakiem mistycznej potęgi, raczej świadectwem choroby przeżerającej organizm nekromanty, ceną za zbyt długie przebywanie wśród trujących wyziewów i trupich jądów, gnilnych bakterii oraz magii cierpienia i krwi. Kahezaar vel'Serash nie jawił się jako potężny przeciwnik, ale godny współczucia nieszczęśnik, który poświęcił wszystko dla swej sztuki, i nie pozostało mu już nic innego, jak rojenia o przyszłej potędze.

— Kolejność hierarchii bytów zależy od miejsca w łańcuchu pokarmowym — kontynuował swój wykład dyplomata. — Najpierw jest materia nieożywiona i światło, darzone przesadną — moim zdaniem — atencją przez niektórych. Z tych bytów czerpią pokarm rośliny, flora z kolei zjadana jest przez faunę, a przynajmniej jej roślinożerną część. Zauważałeś przy tym szlachetny panie, że drapieżniki wydają się mieć niewyszukane elegancję i inteligencję, których najwyraźniej brakuje takiej krowie, co zmusza nas do wysunięcia postulatu, że w krainie zwierząt podium musi należeć do mięsożerców. Natomiast na szczycie tej hierarchii znajduje się pozornie człowiek, gdyż zjada wcześniej wymienione istoty, a przy tym — zgodzisz się, panie — że jest jak dotąd najdoskonalszym bytem z wymienionych. Mówię: pozornie, bo kto zjada człowieka? Czyj głos woła „mózgi.... mózgi...” w środku nocy? Jestem

pewien, panie, że przeczuwasz odpowiedź.

Kiedyś Kalladrión postrzegał blask bijący z oczu pośła jako przejaw ukrytej tajemnej potęgi, teraz widział niezdrową ekscytację i nieustającą gorączkę. Wcześniej każde słowo nekromanty wypełniało go niezwykłym lękiem, teraz miał ochotę zalecić kompres.

I może wyjazd do wód?

— Mój pan Dagerath zrozumiał te wszystkie prawdy i choć nie brakowało mu niczego w ludzkiej egzystencji, gdyż wszelkich bogactw i zaszczytów miał pod dostatkiem, pojął swym nieprzeciętnym umysłem jej ograniczenia. Przekroczył granicę i umarł, by istnieć dalej jako niewyobrażalna potęga. Doskonalsza forma człowieka. Pomyśl, dostojny panie, chciałbyś zapanować nad śmiercią? By dowolnie służyła twojej woli? Czyż to nie intrygująca perspektywa?

— Śmierć mnie nie interesuje — dla odmiany sięgnął po słodki migdał.

— Ach, czyż to nie zbyt pochopnie wypowiedziane słowa? Chylę czoła przed bystrością twojego umysłu, której nieraz dowiodłeś, ale czy gdy kilka lat doświadczenia spocznie na twoich barkach, rzucisz je równie łatwo, jak upojony trunkiem hazardzista kości na stół?

Figi. Dojrzałe figi były rozkosznie słodkie.

Nekromanta uniósł zaciśniętą pięść nad głowę.

— Pomyśl, panie, co za intrygująca perspektywa! Dowodzisz najpotężniejszą armią na wschodzie królestwa, a jedna trzecia kraju faktycznie znajduje się pod twoim zwierzchnictwem.

— Nie rządę tymi ziemiami. Ci ludzie zwrócili się do mnie po pomoc, godząc przy tym, że będę dla wspólnego dobra korzystał z niektórych ich zasobów, to wszystko.

— Ach, czyż nie jest to błyskotliwa definicja władcy idealnego? Sprawiedliwego, dobrego, pragnącego tylko dobra poddanych. Dobrze, gdy przywódca otrzymuje insygnia z wyboru poddanych w uznaniu zasług, a nie jest to rezultat podbojów, a celem władzy ma być ochrona, nie terror. Jesteś, panie, przeciwieństwem de Viriona i każdy kogo zapytasz powie, że byłbyś lepszym królem. W istocie, posłuchaj zwykłych ludzi plotkujących po gospodach, wsłuchaj się w sławiące cię pieśni bardów. Ludzie są przekonani, że księżę światła z prorocत्व byłby lepszym królem, niż despota de Virion.

— Słyszałem, że potraficie zatruwać ciała, ale nigdy bym nie zgadł,

że również duszę. Niestety, twe wysiłki okazały się próżne, jestem odporny na twój jad.

— Nie odrzucaj propozycji, nie wysłuchawszy jej do końca, dostojny panie. W tej chwili rządzisz jedną trzecią kraju i dysponujesz znakomicie wyćwiczoną armią. Gdybyś teraz ruszył na Sheged Arad, miałbyś naprawdę duże szanse, by zdobyć tron. Sprzymierzywszy się z nami, masz jednak pewność. Nikt nie oprze się naszym połączonym siłom. Wszyscy rozsądni możnowładcy, widząc nadciągającą taką potęgę, opuszczają de Viriona. Jedną twoją decyzją panie, a przyszłość będzie przewidywalna aż do bólu. Pomyśl, panie — korona.

— Ludzie nie złożą tak łatwo broni przed trupimi zagonami.

Kahezaar vel'Serash uśmiechnął się przebiegle.

— Przed trupami nie, ale przed księciem światła?

Figa, którą lord włożył do ust, miała nieprzyjemny gorzki posmak. Chyba nadgnała.

— Chcecie tak po prostu oddać mi koronę? — Kalladrion zmrużył oczy i popatrzył uważnie na nekromantę.

— Dageratha Val Kaldola nie interesuje jakieś tam nędzne królestwo, on zostanie panem całego świata, a także wymiarów i sfer, o których — wybacz panie, nie możesz mieć nawet pojęcia. Oczywiście, że nikt nie da rady zarządzać tak wielkim terenem i potrzebni będą zarządcy. Czemuż by jednego z nich nie tytułować królem?

— Jesteś boleśnie szczery, nekromanto — uważnie spoglądające oczy Kalladriona zwęziły się w wąziutkie szparki.

— Przedstawiłem ci plan, który nie może się nie powieść. Proponuje niewyobrażalne bogactwo, władzę i wpływy.

— Byłbym królem z dość dużymi ograniczeniami autonomii decyzji.

— Myślisz, że de Virion ma pełną swobodę decydowania o wszystkim? Czyżbyś zapomniał, panie, jak to jest być władcą prowincji? Króla ograniczają wpływy lokalnych feudałów oraz realia rozsądnej polityki zagranicznej. Pierwszym — ty nie będziesz się musiał martwić, twoja władza wsparta autorytetem wszechpotężnego lisa będzie niepodważalna. Co do drugiego — cóż, cała zagranica to będzie domena jednego wielkiego i życzliwego ci imperium. Powiedzmy, że zamienisz jedno ograniczenia na inne, znacznie mniej zresztą uciążliwe, bo prowadzące się do woli jednej niezwykle mądrej istoty.

— A więc prawdziwą głupotą byłoby się jej przeciwstawiać.

— Dokładnie, dostojny panie.

— Cóż. Wysłuchałem twojej propozycji do końca, tak jak sobie tego życzyłeś, mroczny ambasadorze. Moja odpowiedź jest odmowna. Nie życzymy sobie w granicach Tallendoru nieumarłych. Nie sprzymierzę się z nekromantami, a gdyby ktoś kazał mi powiedzieć szczerze, rzekłbym, że mierzi mnie wasza sztuka. Posłuchaj mnie teraz uważnie, pośle — byś mógł zanieść te słowa do swego mrocznego pana. Jeżeli kiedykolwiek wasza przeklęta horda znajdzie się na moich ziemiach, zmiażdżę ją bez litości.

Cera Kahezaara vel'Serasha, choć wydawało się to niemożliwe, zbladła jeszcze bardziej.

— Mój pan nie znosi odmowy, zwłaszcza, że kogoś potraktował niezwykle hojnie. Władca niewyobrażalną mocą i zdolny jest porazić wrogów na tysiąc sposobów. Twe serce pragnie wojny, zatem ją otrzyma, a ty wkrótce ukorzysz się u stóp mrocznej warowni Dageratha Val Kaldola jak ostatni z niewolników.

— Nigdy się to nie stanie, nekromanto, choć jestem pod wrażeniem twego talentu oratorskiego — lord uśmiechnął się lekko, znowu sięgnąwszy po daktyla.

Dyplomata skłonił się sztywno, zawinął płaszczem i wyszedł.

Kalladrion popełnił jeden straszliwy, niewybaczalny błąd. Zlekceważył przeciwnika.

## VII

Poczucie winy jest jak pająk nakłuwający raz po raz ofiarę, by bezlitośnie wyssać z niej wszelkie życiowe siły. Taki pająk, który nigdy się nie nasyci i nigdy nie będzie miał dość. Ileż Kalladrión wyrzucał sobie, szalony z żalu, że mógł postąpić inaczej, powstrzymać zło, które nieuchronnie eksplodowało w sercu Askazaaru. Ileż błędów popełnił, dufny we własną potęgę, ileż pomyłek...

Dziesiątki godzin spędził łamiąc sobie głowę nad łańcuchem przyczyn, próbując dojść co właściwie się stało. Kahezaara vel'Serasha nie ujęto, choć wysłano pogoń jak najszybciej, przez co na bezpośrednie wyjaśnienia ze strony wroga nie było co liczyć.

Więc może wszystko przez to, że Askazaar stał się już nie zamkiem, ale ogromną bazą wojskową, która musiała wyżywić tysiące ludzi. Już nikt nikogo nie znał, wszędzie szwendali się obcy... A wojna, zubożając wszystkich sprawiła, że pieniądź stał się bardziej potrzebny i wielu było skłonnych dużo zrobić dla okazałego mieszka złota.

Jakby kilka święcących sztabek dało się wymienić z powrotem na ludzkie życie...

Sallande poczuła się źle wieczorem, kilka godzin po tym jak, upiorny poseł zniknął na horyzoncie, a kilkanaście minut po wyjątkowo hucznej kolacji, którą wydała goszcząc wciąż chętnych do fetowania zwycięstwa możliwych feudałów. Z początku przypisała gorsze samopoczucie kielichowi wina, który wychyliła raz, może dwa do plastrów nieco zbyt tłustej pieczeni z dzika. Potem przyczynę rzuciła na ową pieczeń, martwiąc się, czy aby inni goście nie dostaną podobnej niestrawności, czego nie mogłaby sobie wybaczyć. Wreszcie przecież, argumentowała sama przed sobą, gdy wymknęła się, by się wcześniej położyć, wszystko dotąd było na jej głowie i może po prostu jest zwyczajnie zmęczona? W końcu od czegoś był stolnik i podczaszy, naprawdę nie musiała myśleć o wszystkim, zresztą uczta właśnie wchodziła w fazę, w której bardziej niż ona mógł przydać się sommelier. Nikt nie zauważy jej braku, nikomu nie będzie potrzebna. Może się położyć, a rano, rano będzie jak nowo narodzona. Ta ciężkość w dole brzucha zamieniająca się powoli, niedostrzegalnie w ból, z pewnością zniknie.

Gdy znalazła się w prywatnej komnacie i mogła wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem i odpocząć od spojrzeń pijanych ludzi, poczuła się wyraźnie lepiej. Upewniło ją to tylko o słuszności podjętej decyzji, by położyć się wcześniej spać. Przebrała się w nocną koszulę, zakopła w pierzynach. Ale niełatwo było usnąć, gdy daleko na dole rozbrzmiewały hałasy, odbijające się szerokim echem po ogołoconych z mebli i gobelinów korytarzach.

Godzinę później po raz pierwszy zwymiotowała. Niekontrolowanym, zaskakującym nawet ją samą bluzgiem, który rozlał się szeroką strugą po dębowej posadzce.

Czuła się jeszcze na tyle dobrze, że zdołała wezwać służbę i przywołać na twarzy maskę, jakby wydarzenia było nic nieznaczące, a sama czuła się znakomicie. Nie pragnęła widzieć się z medykiem, a lokaj był przyzwyczajony, że po takich ucztach goście mają pewne trudności z utrzymaniem treści żołądka, czemuż więc raz nie mogło się to przydarzyć gospodyni? Dziwny fiołkowy zapach, który poczuł, nie skojarzył ze złym stanem swej pani, tylko z perfumami, których widocznie użyła tego wieczoru.

Inaczej zareagowała Sallande. Ją zdziwił słodki, kwiatowy zapach, który nagle zaczęło wydzielać jej ciało doskonale również wiedziała, że nigdy nie używała podobnych perfum. Ale czuła się zbyt źle, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Wymioty sprawiły jej pełną ulgę. Teraz pragnęła tylko położyć się i usnąć.

Kwadrans później zwymiotowała znowu.

Kalladrión wyrzucał sobie po wielokroć, że nie zauważył dziwnego oddalenia się małżonki. Ale przecież zdarzało się, że czasem wcześniej wymykała się z uczy, zwłaszcza gdy widziała, że stopień upojenia niektórych gości naraża ją na oglądanie rzeczy niegodnych damy. Jednak gdyby wówczas opuścił biesiadników, udał się za żoną do jej komnat... Ponoć mleko podane natychmiast ma cudowne właściwości. Albo gdyby zwymiotowała godzinę wcześniej... Żeby tylko było wiadomo wcześniej.

Jedyną oznaką, że to nie jest zwykła nieustawność, były te niewinne fiołki, wyczuwalne tak intensywnie, że przykrywające żrącą woń kwasu, wypływającego z żołądka.

Tymczasem Sallande czuła się coraz gorzej, za drugim razem miała wrażenie, że wyrywają się z niej wnętrzności. Padła spocona na poduszki i miała wrażenie, że baldachim nad łóżem zaczyna się powoli kręcić, a

wraz z nim cała komnata.

Zdecydowała się wezwać medyka, bardziej po to, by przepisał uspokajające jelita driakwie, wreszcie może coś na sen. Konsyliarz, starszy nieduży człowieczyna z siwiuteńką rzadką brodą przybył niemal natychmiast, przecierając sennie oczy. Choć zaspany, był wystarczająco przytomny, by wypytać osłabłą władczynię na okoliczność spożywanych grzybów, najbardziej niebezpiecznych kandydatów na źródło poważnych zatruć. Potem jego uwaga przeniosła się na ryby i nawet niegroźnie wyglądające jagody. Gdy dowiedział się, że nic z tych rzeczy nie znalazło się nawet w pobliżu ust Sallande, odetchnął z wyraźną ulgą, aczkolwiek nakazał dyskretnie zebrać próbki wszystkiego, co ostatnio spożywała, nie polegając tylko na pamięci chorej, ale i na informacjach zebranych od usługujących przy stole służących.

Wbrew nadziejom swojej wysoko urodzonej klientki nie zalecił zioła powstrzymującego zwracanie. Wręcz przeciwnie, zalecił, by wymiotowała tak często, jak tylko ma ochotę, oraz nakazał, by piła jak największe ilości wody, sam osobiście wsypał do dzbana wcześniej osiem łyżeczek cukru, a nawet — wbrew jej słabym protestom — jedną soli.

Najbardziej go przy tym zmartwiło, że pierwsza porcja wymiocin, nieodwracalnie sprzątnięta przez znakomicie wyszkolonego lokaja, jest już nie do odzyskania. Nakazał natychmiast pogonić za drugą, a w międzyczasie jego pacjentka ucieszyła go dawką trzeciej. Zapowiedział, że uda się do laboratorium, gdzie zbada dla porządku próbkę, w tym czasie czcigodna podopieczna ma jak najwięcej wypoczywać.

W międzyczasie przygotował już kolejną miksturę, zostawiającą na języku władczyni czarny jak węgiel ślad, oraz kolejny dzban wody, tyle że z dodatkiem soku z malin.

Wezwano też Kalladriona; medyk uspokoił go w kilku słowach, lord pocałował żonę w czoło, mimochodem mignęła mu myśl, że pięknie pachnie. Potem musiał wracać do polityki, Sallande sama go nauczyła, że największe bitwy wygrywa się zawsze na przyjęciach.

Przeklinał się potem po wielokroć, że racja stanu okazała się ważniejsza niż ukochana osoba. Ci, którzy są nam bliżsi, mogą przecież chwilę poczekać — tylko do rana, ważniejsze są obowiązki.

A rano było już dawno za późno.

Trzy godziny przed świtem medyk wparował do jej komnaty, a twarz miał spoconą i bladą. Nie tak bladą jak twarz Sallande, a na

nierówno podnoszącej się piersi kobiety perliły się krople potu o zapachu fiołków. Wezwany natychmiast Kalladrión dowiedział się, że lekarz mimo przeprowadzenia serii wymyślnych alchemicznych testów może powiedzieć niewiele więcej poza tym, że wyciąg z wymiocin podany oswojonej myszy zabił ją w ciągu pół godziny. Czas stanął w miejscu, a serce lorda skurczyło się do maleńkiej, bolesnej grudki.

W całej komnacie aż kręciło się w głowie od woni fiołków, wydalanej teraz przez każdy por skóry chorej.

\*

Zaciągnięto zasłony. Dienne światło raniło oczy kobiety, odwracała się od niego ze wstrętem. Natomiast okna pozostawiono półprzymknięte, medyk zalecił dopływ świeżego powietrza; zresztą Kalladrión chciał pozbyć się nieprzyjemnych zapachów, a nade wszystko przekłetej woni kwiatów. Podmuch niekiedy wzdymał stopy, wpuszczając do pomieszczenia odblaski światła, które przez mgnienie tańczyły po ścianach, szperały w kątach, jakby szukając winowajców, po czym znikwały tak samo nagle, jak się pojawiały. Szarość, przegnana na chwilę, dostojnie powracała, biorąc komnatę w swe ponure władanie.

Kłęczał przy jej łożu, trzymając w dłoniach zadziwiająco kruchą rękę. Choroba przyprószyła kredą jej twarz, wyostrzyła rysy, nadała błysk gorączki oczom. Sallande mimo niedomagania nadal pozostawała piękną kobietą, jej twarz wyglądała na ozdobioną nieco bardziej mrocznym makijażem.

— Kasselen... Czy wszystko w porządku z Kasselenem? — zapytała głosem cichszym niż szelest wiatru.

— Opiekują się nim kuzynki. A przed drzwiami postawiłem potrójne straże. Nie dostaną go...

— To dobrze... — przymknęła oczy. — Śpij, śpij spokojnie, dziecko światła... — zanuciła szeptem bardziej chyba do siebie, jakby chciała usłyszeć jeszcze raz te słowa.

Kalladrión powstrzymał się, by nie zawyć niczym ranne zwierzę. Rozpacz przeplatała się w nim z gniewem. Szambelan przeprowadził szybkie i brutalne śledztwo. Znaleźć służącego, który zdradził za mieszek złota, było zadziwiająco łatwo. Trudniej rzekomego oficera, który zlecił mu robotę. Najpewniej już dawno opuścił zamek, porzucając przebranie, może zresztą był to jeden z rycerzy eskortujących nekromantę, który został nieco dłużej i następnie dogonił orszak.



Służący przyznał się do podania Sallande kielicha z winem, zaprawionego dyskretnie kilkoma kroplami z otrzymanego wcześniej flakonika. Gdy powiedziano jej o tym, powiedziała tylko:

— Pamiętam ten kielich, był oszałamiająco słodki. Nie wiedziałam tylko, że jest to słodycz trucizny.

Samego Kahezaara vel'Serasha nie udało się niestety złapać. Pościg wysłano natychmiast, gdy zorientowano się, jak okrutnego czynu się dopuścił, niestety to nadal oznaczało, że dopiero po połowie doby. Było to dość czasu, by sprytny trupi czarnoksiężnik zapadł się jak kamień w wodę.

Stracenie służącego to nędzna namiastka sprawiedliwości, gdy prawdziwy zleceniodawca znajduje się na wolności.

Kolejny podmuch szarpiący zasłonami i odrobina światła, tańcząca po ścianach.

— Wszystko będzie dobrze... — szeptał. — Musisz być silna. Nie możesz... — Nie potrafił wymówić tego słowa. Złowieszczego, niosącego koniec i brak nadziei. — Nie możesz odejść.

Ten eufemizm smakował gorzko, gdy przechodził przez usta.

Uśmiechnęła się blado, jakby opowiedział żart. Ręka poruszyła się, Kalladrion odniósł wrażenie, że gdyby kobieta była silniejsza, pogłaskałaby go po głowie, tak jak z czułością traktuje się dziecko, gdy opowiada nam bajki.

Nie tylko zebrane w pośpiechu konsylium nic nie mogło poradzić, ale nawet Anathel z swoimi czarnoksiężskimi mocami.

— A lisz? Lisz by potrafił? — zapytał lord, gdy mag przepaszająco rozłożył ręce w geście całkowitej bezradności. Teraz Kalladrion przypominał sobie rozmowę z posłem i jego własne przedwczesne słowa: „Śmierć mnie nie interesuje”.

— Nic mi nie wiadomo, by znano go jako mistrza sztuki uzdrawiania. Nie, on panuje nad innymi mocami. A efekt działania tych sił... Nie jestem pewien, czy by cię satysfakcjonował, dostojny panie.

— Czyli jednak jest nadzieja — uczeplił się tych słów jak ostatniej nitki.

— Tylko iluzja nadziei. Inna forma śmierci.

— Jaka jest różnica?

— Dla niej? Któż to wie... Dla ciebie — zamiast smutku przeżyjesz wypełnione bólem szaleństwo.

— Czy nie wolno nam się zwrócić po pomoc do demonów, gdy bogowie milczą?

— Dagerath Val Kaldol mógłby nam pomóc tylko, gdyby dzisiaj był tu z nami obecny. A z tego co wiemy, znajduje się w odległym Dar Magoth. Gdy demony nie mogą nas usłyszeć, po co zaprzętać sobie nimi umysł. Ona cię potrzebuje. Idź do niej teraz.

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu niewypowiedziane.

...bo nic więcej nie można zrobić.

Czuwał przy jej łóżku, wsłuchując w jej nierówny oddech, w nadziei, że jego straż powstrzyma śmierć. Gdy oddech spowalniał na chwilę, jego serce również zamierało, skurczone ze strachu, że będzie to już ostatni. Gdy pierś żony unosiła się znów odrobinę, dziękował wszystkim bogom za okazaną łaskę.

Jeżeli odejdziesz, moja ukochana, mego smutku nie zetrze nawet tysiąc lat...

Żałował swojej ignorancji w dziedzinie magii. Trzymając jej dłoń w swoich przesysał jej całe we ciepło, i wyobrażał sobie, że może przesłać więcej, jakieś nieuchwytnie siły życiowe, które kosztem jego energii przywrócą jej życie i za moment powstanie uśmiechnięta i jedynie spocone prześcieradło zostanie świadectwem niedawnej tragedii. Niestety, jedyne zaklęcia jakie znał, to te miłosne i choć ich nie szczędził, w starciu ze śmiercią były równie bezużyteczne, jak wszystko inne.

Zanurzył szmatkę w misce z chłodną wodą i ostrożnie, z niezwykłą delikatnością otarł jej czoło z potu. Od pewnego czasu nawet nie chciała pić, mimo że wargi miała spierzchnięte.

Wysunęła dłoń z jego ręki i nakryła ją w czułym geście, jakby to ona próbowała pocieszać go i wspierać w bólu, który przeżywał.

Odeszła w południe, cicho, zostawiając jego serce w niewysłowionym smutku.

\*

Pogrzeb urządzono skromny, na specjalne życzenie Kalladriona. Nie pragnął, by tłumy dzieliły jego ból. Patrzył niewidzącym wzrokiem na szereg odzianych na czarno żałobników idących za prostą, szlachetną trumną, a w jego głowie tłukły się tępo myśli:

— Nie ma jej. Nie będzie. Już nigdy. To nieodwracalne.

Czuł, jakby w duszy rozlała mu się pustka, której nie da się niczym załatać, i która już zawsze będzie jego towarzyszem, w miejsce tej, którą

tak brutalnie zastąpiła.

...moja ukochana, mego smutku nie zetrze nawet tysiąc lat...

Jeszcze jedna myśl przepływała we wnętrzu jego czaszki, niczym samotny okręt po pustym morzu. Myśl podszyta wyrzutami sumienia, nienawiścią do samego siebie — za nieudolność, niekompetencje, bezmyślność:

— Wpuściłem truciciela do mojego zamku. Wpuściłem jedomistrza do mojego domu.

## Część II

# Dziecię światła, dziecię ciemności

### VIII

Zima odziała pagórki i równiny w kożuch ze śniegu, przykryła rzeki ołowianymi pancierzami lodu. Długie sople zwisały się z okapów domostw niczym ostrza pik, pokrywy na dachach były tak ciężkie, że aż jęczały gonty.

Askazaar było milczące jak cmentarz; ponure i zszarzałe, z czarnymi płachtami żałobnych flag zwisającymi z bram i okien. Zdawało się, że tak jak i władcy, taki i miastu śmierć zabrała wszystko. Zdusiła handel, zabawę, nawet rzemiosło zaczęło podupadać. Niepokonane przez nekromantów w polu, teraz samo niedostrzegalnie przechodziło na mroczną stronę.

Do takiego miasta — zrujnowanego, mimo że mury stały nienaruszone, a fasady domostw zdawały się całkiem solidne, Jej księżęca Wysokość Evalayn de Virion wprowadzała swój pyszny orszak. Pierwsi w mury miasta wjechali rycerze w lśniących zbrojach, błyszczących tak, że otoczenie odbijało się w nich jak w powierzchni zwierciadeł, z kopiami postawionymi na sztorc i sztandarami przedstawiającymi szkarłatny kwiat na czarnym tle. Końskie grzbiety okrywały ozdobne, obramowane szkarłatem czapraki; na czarnych płaszczach, spływających z pleców jeźdźców, widniały czerwone smoki stojące na tylnich łapach. Czerń i szkarłat dominowały wszędzie, jakby Evalayn zapominała o własnych barwach, przybierając prawnie jej należne kolory królewskie.

Za parami jezdnych do miasta wkroczyła równym krokiem piechota, pancerny niekończący się sznur ludzi, wijący się wśród wielkich zasp niczym stalowy wąż na śnieżnej pustyni. Maszerowali równym krokiem, śnieg chrzęścił pod ich ciężko obutymi stopami, z ust wydobywały im się

kłęby falującej pary. U boków przytroczone mieli szerokie, kwadratowe tarcze, w dłoniach nieśli włócznie. Przy pasach połyskiwały topory o szerokich ostrzach, miast wcześniej stosowanych mieczy — znać że armia Tel Kaladel szybko dostosowuje się do zmian. Po nich maszerowali łucznicy o zaciętych twarzach i długich palcach przewiązanych bandażami. Na plecach zawiesili długie łuki o potężnym naciągu; w kołczanach telepały się strzały, niektóre o niezwykle, półksiężycowych grotach. Rzeka lśniącej stali wpływała w ulice swoją milczącą potęgą dając mieszkańcom nadzieję. Okiennice zamknięte na głucho zaczęły się ostrożnie rozwierać, czarne szmaty i płachty zostały zdjęte z zakurzonych szyb. Zgiełk na zewnątrz, chociaż czyniony głównie przez żołnierskie buty i stukot końskich kopyt dawał poczucie, że ciszę można bezkarnie przerwać i zakończyć jej, zdawałoby się, niepodzielne panowanie. Wkrótce dołączył do niego gwar pierwszych gapiów, jak również szcęk rozkładanych straganów. Kupcy liczyli starannie przekraczające bramy setki elitarniej piechoty, ale w przeciwieństwie do pozostałych widzieli nie rycerzy, a brzęczące monety. Węsząc koniunkturę, poczęli wykładać na lady towary i wypisywać kredą na drewnianych tablicach okazyjne ceny.

Jeszcze zanim bogato intarsjowana kareta z najprzedniejszego drewna wjechała do Askazaaru, miasto było już uratowane. A przecie dopiero za nią ciągnął się szereg dworzan i dwórek, wozów kupieckich wyładowanych towarami po brzegi, a były tam tkaniny, stroje, żywność, biżuteria, wszystko najlepszego gatunku, jakby córka króla uznała, że tutaj oddano największą ofiarę dla państwa i ci tutaj obywatele powinni w zamian najwięcej dostać. Wreszcie na odkrytych wozach tłoczyli się poeci, malarze, muzycy, trefnisie i zawodowi błażni, a nie brakowało też markietanek, jednak całe towarzystwo jechało w dziwnym jak na nich spokoju, uznając milczeniem powagę żałoby. A potem oddziały wojsk, sznur opancerzonych konnych i szeregi piechoty, aż po kraniec horyzontu.

Tymczasem kareta wjechała na dziedziniec zamkowy. Evalayn wkroczyła na komnaty. Energiczna, zdecydowanym, dźwięcznym głosem wydała rozkazy służbie, wnet kazała otworzyć wszystkie okna w zamku i wywietrzyć z kątów cienie. W szkarłatnej sukni rozciętej po lewej stronie aż do uda, rumieńcami na policzkach i ogniem w oczach wyglądała naprawdę olśniewająco. Czarna burza włosów otaczała jej twarz, niczym

błyskawice lśniły srebrzyste szpilki, nadające skomplikowanej fryzurze wrażenie wyrafinowanego nieładu. Gdy poruszała się, wyciągając alabastrowe dłonie w nieznoszących sprzeciwu gestach, bransolety z obsydianowych kryształków przypominały ciemny deszcz zraszający nadgarstki.

Odnalazła go w pustej sali audiencyjnej, przy zasuniętych kotarach. Siedział przy stole, położył twarz na blacie, właściwie bardziej na wpół leżał. W półmroku pierwszej chwili jej nie zauważył, zdawało się, że ledwie ją poznaje.

— Wypadałoby wstać na powitanie gościa, zwłaszcza gdy to dama.

— Nie zapraszałem cię. Nie chcę nikogo widzieć.

— Od kiedy to dobrzy przyjaciele potrzebują specjalnego zaproszenia, by wolno im było wzajemnie składać sobie wizyty?

— Mój dom nie jest teraz gościnnym miejscem.

— Rzeczywiście serce boli, gdy widzę, jak zwycięzca spod Tagaris Hen upada powalony własną miernością.

— Ty nie rozumiesz. Jej nie ma. Nie żyje.

— Tak, wiem. Minęło pół roku. Wiadomości przez ten czas zdążyły dotrzeć nie tylko do mnie, ale pewnie i do przeciwnych granic królestwa.

— Bez niej... Nie mam po co żyć.

— I skoro ona umarła, może również przepaść ten świat?

— Świat sobie poradzi beze mnie.

— A co ze starymi przepowiedniami? „Gdy umarli zaczną z żywymi chodzić po ziemi i powstanie na północy wielki lisz o potędze bez granic, świat stoczy się w otchłań wiecznej nocy” — zacytowała z nutami starannie odmierzonego patosu.

— Pokonałem armię nieumarłych i zreformowałem wojsko. Zagrożenie minęło.

— Tagaris Hen było imponującym zwycięstwem, przyznaję. Rozbiłeś jeden trupi zagon i zmusiłeś hordy ciemności do odwrotu. Lisz zrozumiał, że krainy ludzi nie będą tak łatwym łupem, jak sądził. Gromadzi więc moc i pod murami Dar Magoth zbiera ogromną armię. A my nie mamy dowódcy.

— Królowi nigdy nie brakowało generałów.

— Pokazali, co potrafią wtedy, pokazali i teraz. Przegraliśmy kolejną bitwę na pograniczu pod Uteh Kor. Nic poważnego, tylko próba sił. Dwadzieścia siedem tysięcy doborowej królewskiej piechoty i pięć

tysięcy jazdy, wszyscy wyposażeni wedle twoich wytycznych. Na początku tamtych było trzy razy tyle. Ale potem okazało się, że to zaledwie straż przednia. I jeszcze magia, dziwna, przerażająca, niezrozumiała. A przecież w skład korpusu wchodził królewski czarodziej. Jeden umarł, jeden oszalał, jeden oślepl. Z piechoty nie ocalał nikt, z jazdy przebiła się połowa. Generał dowodzący zaczepną ekspedycją przeżył, moim zdaniem, niestety. Bo generałów mamy, jak mówiłam, pod dostatkiem. To Zwycięzców nam brakuje.

— Lisz... Wkroczył na nasze tereny? — pierwszy raz w jego spojrzeniu pojawiło się na krótko coś na kształt zainteresowania.

— Nie. Dlatego w Tallendorze przedstawia się tę bitwę jako umiarkowany sukces. Straciliśmy armię, ale wykrwawiliśmy wroga.

— Głupota — umysł wrócił do pacy, odruchowo analizował dane. — Pozbierają ciała rycerzy i będą jeszcze potężniejsi. A to, że nekromanci nie wykorzystali okazji do kontrnatarcia, jest co najmniej niepokojące.

— Też tak sądzę. Moim zdaniem... Lisz stał się ostrożniejszy. Następnym razem nie uderzy pośpiesznie i gdy wreszcie wyruszy z całą potęgą, nie zdołamy go powstrzymać.

— Musimy wydać kolejną bitwę i to szybko, na naszych warunkach. Uderzyć całymi siłami w głąb terytorium nieprzyjaciela, póki jeszcze nie osiągnął pełnej gotowości bojowej. Przejąć inicjatywę. Zniszczyć Dar Magoth.

— Udaj się ze mną do Sheged Arad i powiedz to królowi i możnym.

— Jeżeli jeszcze tego nie wiedzą, są skończonymi głupcami.

— Wiedzą. Problem w tym, że nie wierzą, że byliby w stanie pokonać praktycznie nieskończone armie nieumarłych. Ale ja wierzę, że ty mógłbyś to zrobić. Pomogę ci przekonać mojego ojca, a potem wspólnie przekonacie najpotężniejszych feudałów.

— Ja? Kimże jestem? Niewiele znaczącym lordem pogranicza.

— Raczysz żartować. Teraz wszyscy przygraniczni lordowie są gotowi oddać wojska pod twoją komendę. Mówi się o tobie, że jesteś zbawcą świata, dzieckiem światła, które uratuje wszystkich przed pogrążeniem się w nieskończonej nocy. Ech, Kalladrionie... Zawsze się niedoceniałeś. Po Tagaris Hen ludzie cię wielbią, masz u nich posłuch i pójda za tobą w ogień.

— W ogień? To niepotrzebne. Pytanie — czy w objęcia śmierci?

— Wypróbuj ich.

Chwilę ważyła w myślach słowa, jakby zastanawiając się, czy je powiedzieć.

— Inaczej śmierć twojej żony pójdzie na marne — gdy już zaczęła, mówiła szybko, jakby nie chciała tego powiedzieć, a równocześnie pewne rzeczy musiały zostać wypowiedziane, jakby uciekając od kolejnych wystrzeliwanych zdań, zostawiając je za sobą czym prędzej. — Co z ciebie za mężczyzna? Co za władca? Nekromanci przy pomocy okrutnej trucizny zamordowali twoją żonę, w twoim domu. I teraz chodzą gdzieś tam, bezpieczni, tryumfujący. Nie powinienes się zemścić? Czy ona by tego nie chciała? Pomścij ją. Usuń ich wszystkich z powierzchni tego świata. Unicestwij, rozsypując prochy na cztery strony świata. Pokaż, że ją kochałeś i pomścij jej śmierć!

— Wystarczy!!!

W tym jednym słowie zawarł nieprawdopodobny ładunek rozpalonej do białości wściekłości. Twarz jej pobladła; księżniczka cofnęła się o krok. Ale w duszy uśmiechnęła się tryumfująco, bo właśnie wzbudziła życie w jego wcześniej pustych, jakby wystygłych oczach.

— Nie masz prawa tak mówić... Wymawiać nawet jej imienia — mówił już ze zwieszoną głową, na powrót pokonany. Wybuch minął tak samo gwałtownie, jak się pojawił. Stała za nim, dotknęła koniuszkami palców ramienia.

— Tak, wiem — powiedziała miękko. — Przepraszam.

\*

Umył się i ubrał w świeże szaty. Jak zażartowała, warunek konieczny do ich dalszej rozmowy. Nadal chodził przygarbiony, jakby dźwigał niewyobrażalny ciężar, ale księżniczce udało się wyrwać go z otępienia i obojętności w których nurzał się przez ostatnie miesiące. Gdy wkroczył do jej komnaty, w nozdrza uderzył go zapach pieczonego drobiu i słodkich owoców. Poczuł, po raz pierwszy od wielu tygodni, że wrócił mu apetyt, a do ust napływa ślina.

— Mówiłaś, że masz dla mnie niespodziankę — zagaił.

— Miałam nadzieje, że najpierw pomożesz mi poradzić sobie z tą kaczką — zręcznie operując srebrnymi sztucami odkrajała małe kawałki pieczystego i wkładała do ust.

Na środku stołu, w ogromnym zdobionym półmisku, leżał wciąż jeszcze ocalały ogromny kawałek, pływając w jeziorze sosu niczym kadłub tonącego okrętu wśród owocowych wysepek. Obok, na osobnym



naczyniu, wznosiła się piramida ziemniaczków posypana wonnymi ziołami, ledwie tylko napoczęta. Pokrojone, opierające się o siebie pajdy chleba przypominały pofałdowane wzgórza, dalej położono wyglądające jak miniaturowe kasztele okrągłe kawały żółtego sera z zapraszająco wyciętym i wysuniętym jednym kawałkiem. Pierwszy robił wrażenie olbrzymi dziurami, zdawało się, że jeść się będzie jakąś ażurową siatkę, drugi odurzał wytrawnym zapachem, trzeci oszałamiającą kombinacją woni słodkiej i pikantnej równocześnie. Dalej błyszcząły patery z ciemnobrązowymi wędlinami z południa, wysuszonymi i pociętymi w plastry tak cienkie, że gdy je unieść na widelcu, prawie prześwitywało przez nie światło. Następnie jaśniejsze szynki północy, tu plastry już grubsze, soczyste; niektóre zostały obtaczane w ziołach, inne gotowane tylko z laurowy liściem, którym były też dyskretnie udekorowane. Podsmażane na oliwie bakłażany leżały obok pokrojonej w paski papryki, zielone i czarne olbrzymie oliwki wyglądały jak piłeczki z dziecięcej gry.

— Kaczka może być... — powiedział powoli, jakby pierwszy raz widział nagromadzenie takich cudów. Żołądek zaczynał szaleć, domagając się natychmiastowego wypełnienia. Lord usiadł na krześle. Natychmiast za nim pojawił się lokaj w czarno-szkarłatnej liberii i podsunął talerz, na którym położono wielki półokrągły kawał chleba.

— Proponowałabym zacząć od zupy. Wyszła im całkiem przyzwoita. Ostrożnie ujął górną, odkrojoną wcześniej część chleba i odłożył na bok. Wewnątrz bochen okazał się wydrążony i wypełniony parującą treścią. Powietrze wypełnił zapach leśnych grzybów. Ostrożnie zanurzył łyżkę w gęstej cieczy, jakby nie był pewien, jak zareaguje na takie wiktuały po miesiącach postu.

— Rzeczywiście niczego nie można jej zarzucić.

— Boję się o ciasta. Moi cukiernicy dwoją się i troją, ale obawiam się, że nie zdołałam przywieźć wszystkich potrzebnych produktów. Za jakieś półgodziny wszystko się okaże.

— Mówiłaś coś o niespodziance — przypomniał jej.

— Ech, mężczyźni, zawsze tacy raptowni, zawsze niecierpliwi. Tam jest... — wskazała alabastrową dłońią na leżące pod ścianą kołczany. Kalladrion zaważył, że umieszczono w nich strzały odwrotnie, grotami ku górze, nonszalancko demonstracyjnie, by od razu widać było ich niezwykle półksiężycowy kształt.

Chwilę się zastanawiał.

— Grot do odcinania kończyn — powiedział wreszcie. — Podobno zdarzało się, że odpowiednio wystrzelony przecina kręgosłup i zdmuchuje głowę z karku.

— Przygotowane przez ciebie formacje miały jedną wadę, nie wykorzystywały strzelców zdolnych razić wroga z dalekiego zasięgu. A problem jest ważny, nieumarli poruszają się bardzo powoli — można by, zanim dojdzie do zwania, poważnie osłabić ich gradem strzał. Pociski zapalające okazywały się skuteczne tylko wtedy, gdy trafiły na zetlałą odzież albo zajęły się od nich włosy. Większość łuczników uzbroiłeś w topory i trzymałeś w odwodach, takie używanie przeszkolonych jednostek jest podobnym marnotrawstwem, jak spieszenie jazdy. — Kalladrion przytaknął na te słowa, sam wyraził się podobnie jakiś czas temu. — Moi inżynierowie długo myśleli nad tym, jak przywrócić efektywność łucznikom. Oto zaproponowane rozwiązanie. Zainteresowałam cię?

Umysł księcia pracował już nad nowymi możliwościami taktycznymi, śmiałymi rozwiązaniami.

— Dużo masz tych strzał?

— Dzisiaj produkuje je każdy rzemieślnik w Tel Kaladel. Jutro, jak namówisz króla, zajmą się tym wszystkie miasta w dziesięciu prowincjach.

— Mają nad nami nieprawdopodobną przewagę liczebną, ale są powolni. Walka w zwaniciu nie ma sensu, zaleją nas podobnie jak pod Uteh Kor, choćbyśmy wystawili najlepsze legiony, nas ludzie się męczą, a tamci nie czują trwogi śmierci, są nieustępliwi, a w takim wypadku w końcu przeważą szalę zwycięstwa nieprawdopodobną liczebnością. Na dodatek nasi zabici zasilają ich szeregi. Nasze zasoby ludzkie są skończone, ale przecież nasze lasy nie. Wyobraź sobie dziesiątki, nie — setki łuczników wystrzeliwujących chmarę strzał i wycofujących się na bezpieczną odległość? Ciągłe i ciągle... Oni mają nieprzebrane strumienie wojsk, ale nam może nigdy nie zabraknąć strzał.

— Kalladrionie!!! — otworzyła w podziwie usta i zaklaskała trzy razy. — Właśnie tego dokonałeś, nie wstając od stołu — perlisty śmiech dźwięczał w jej głosie. — Nie myliłam się co do ciebie. Jesteś księciem światła z legend, tym, który może nas ocalić. Jeszcze w to wątpisz? Najtężsi stratedzy Tallendoru głowili się od miesiąca, jak pokonać niemal

nieskończone hordy dysponując bardzo limitowaną siłą. Tobie zajęło to krócej, niż uporanie się z kaczką. Przynieście wina, musimy to uczcić!

Niemal jej nie słuchał, jego umysł był gdzieś daleko, na polach bitwy, przeprowadzał analizy i obliczenia.

— Popełniłem błąd, nie doceniając łuczników. Potrzeba po prostu innych strzał — głośno myślał, jakby przez moment znalazł się sam w pomieszczeniu. — Półksiężycowe groty, doskonały pomysł. Ale większość strzał trafia w korpus. Konieczne jest inne rozwiązanie. A gdyby tak płonące strzały mogły wybuchnąć w zetknięciu z celem? Tego potrzebuję, eksplodujących strzał. Muszę koniecznie zapytać Anathela, czy jest w stanie dostarczyć mi coś podobnego.

Teraz dopiero zobaczył lokaja nalewającego mu bursztynowego płynu.

— Nie chcę! — wykrzyknął. — Nie rozumiesz?! Nie dam rady świętować. Uczynię, co muszę zrobić. Ale to żadna okazja do świętowania.

Wzruszyła ramionami, jakby cała sprawa była nieistotna i odprawiła służącego nonszalanckim ruchem dłoni.

— Myślałeś o losie swojego syna? Nie może tutaj zostać. Pogranicze jest zbyt niebezpieczne. Wróg już raz uderzył w mury zamku Askazaar. Powinniśmy go wyprawić na zachód. Tam będzie mógł bezpiecznie rosnąć pod troskliwą opieką. Znajdziemy mu najlepszych nauczycieli.

— Mój syn... — prawie wybuchnął ze złości i wciąż skrywanego żalu, który nagle powrócił jak dawno nie widziany, absorbujący uwagę wszystkich krewny. — Musi zostać ze mną.

— Naprawdę chcesz go pociągnąć za sobą, wniebezpieczną męczącą wyprawę wojenną w samym centrum kraju nekromantów? — Przekrzywiła głowę i nie kryła ironii w głosie. Patrzył przez chwilę, jak niedbale bawiła się srebrną łyżeczką, obracając ją w dwóch palcach.

— Masz rację, że nie może tutaj zostać — odrzekł już spokojniej. — Kasselen jedzie ze mną do Sheged Arad. Potem zobaczymy.

— W porządku — łyżeczka nadal interesowała księżniczkę, jakby była migoczącym centrum świata.

— Evalayn.

— Tak?

— Przepraszam. Nie myśl, że nie widzę tego... Co robisz w mieście. Zamku. Co robisz dla mnie.

— Nie robię tego dla ciebie.

— To znaczy?

Uśmiechnęła się do niego i rzekła zaskakująco dźwięcznie:

— Porządkuję twoje życie, abyś ty mógł zaprowadzić ład w królestwie. — Następnie uśmiechnęła się, płynnie zmieniając temat — mówiła dalej głosem rozkapryszonej dziewczynki: — A właśnie, mam nadzieję, że dotrzymasz mi towarzystwa przy kolacji. Przywiozłam dwa kosze raków obłożonych hojnie lodem i mam przecucie, że jeżeli tylko zostaną dobrze wypieczone, to ich mięso będzie kruche i wprost przepyszne.

## IX

Sheged Arad, jedno z największych miast cywilizowanego świata, już dawno wykipiła domostwami poza miejskie mury. Nieprzyjaciel od ponad stu lat nie podszedł pod stolicę, a podczas jedynej poważnej w tym czasie wojny domowej udało się doprowadzić do rozstrzygnięcia na polu bitwy i uniknąć oblężenia. W spokojnych czasach mógł bez przeszkód kwitnąć handel i z powodzeniem rozwijało się rzemiosło, mieszkańcy z pobliskich wiosek z zazdrością spoglądali na bogacących się sąsiadów i ten czy ów odstępował od roli, by również spróbować szczęścia w pysznym Sheged Arad, którego dachy domostw lśniły, jakby je wyłożono złotem.

Wczesna wiosna wniosła na ulice nieco ciepła, a ostatni podarunek zimy, odrobina zmrożonych, wirujących płatków topniała, gdy tylko sięgały bruku — nim jednak zniknęły, przez moment lśniły niczym diamenty w czystym powietrzu, przesyconym promieniami wspinającego się po niebie słońca.

Kalladrion za radą Evalayn przebrał się w najbogatszy strój w fioletowo-złoty kolorach i jechał na przedzie orszaku wojska wkraczającego do stolicy. Obok niego, w szkarłatno-czarnych szatach jechała piękna księżniczka, unosząc wyniośle i dumnie głowę.

— Znamy mnie tutaj doskonale. Teraz jesteś dla nich obcym, ale jeśli wjedziesz wraz ze mną, dostrzegą w tobie kogoś ważnego.

Podziękował jej za ten doskonały pomysł, choć widząc tłumy ludzi szybko ustawiające się w gęstniejące szpalery po obu stronach ulicy i wznoszące okrzyki chwalcące księcia światła musiał uznać, że sława go wyprzedziła.

“...dziecię światła zrodzone w czasach mroku chwyci za miecz i rozgromi orężem ciemność...” — powtarzano głośno fragmenty starych przepowiedni. Gdy minęli szereg kamienic i przejeżdżali przez niewielki plac, Kalladrion dostrzegł estradę, pospiesznie zmontowaną z kilku beczek, na które położono płaskie szerokie deski. Na podwyższeniu stał minstrel i śpiewał starą balladę:

Któż ocali nas, ludzi podległych śmierci  
Skazanych przez los na zagładę.  
Kto zatrzyma armię zabójców

I przeciwstawi się mocy ksiąg ciemności?

Dziecię światła, zrodzone w czasach mroku  
Zdolne jest zmienić bieg przeznaczenia  
Jego serce jak płomień rozświetli ciemność  
A oddech jak wichur rozgoni chmury zła.

Kalladrion czuł, jak w żołądku gromadzi mu się gorycz. Ktokolwiek był autorem ballady, talentu nie miał za grosz, natomiast słowa były bezdennie głupie. Dobro, zło, światło, ciemność używane były przez minstrela tak często, jak tylko chyba jest możliwe. Jednak pieśń mówiła o pewnych podstawowych sprawach w niezwykle prosty sposób, dawała też ludziom nadzieję, więc mimo braku artystycznych i intelektualnych wartości, przetrwała wieki. W przeciwieństwie, jak Kalladrion doskonale wiedział, do wielu mądrych traktatów, które okazały się wysoce nieodporne na żąb czasu.

Gorzki smak dotarł, jak się tego spodziewał, do ust. Nie czuł się wcale księciem światła, nie chciał rozbudzać w tych ludziach nadziei, nie był w stanie nic im dać. Nie potrafił ocalić nawet najbliższej sobie osoby, a oni chcą, by ocalił ich wszystkich, bo tak mówi przypominane ku pokrzepieniu serc jedno z tysięcy mętnych, archaicznych proroctw.

Czuł się potwornie, czuł się winny, te tytuły traktował jak obelgę dla jego uczuć.

„Wpuściłem truciciela do mojego zamku. Wpuściłem jadamistrza do mojego domu.”

Myśl, która powracała jak bumerang, bolesne przypomnienie nadmiernej pewności siebie, buty, która kazała mu zlekceważyć przeciwnika, mimo że wszystkie fakty miał już wcześniej przed oczami. Widział kły jadowe pająka nekromanty, wiedział, że trupi magowie są mistrzami trucizn, a jednocześnie nie zadbał, by się zabezpieczyć przed tym zagrożeniem. Teraz, boleśnie za późno przypomniał sobie usłyszaną niegdyś historię, dlaczego posłów ciemności i śmierci niechętnie wpuszczano za częstokół. Otóż nekromanta, wódz armii oblegającej miasto podczas spotkania dyplomatycznego, zręcznie zatruł zamkowe studnie, mocno skracając czas obrony grodu. Czemu zapomniał o tej historii? Skoro intelekt miał być w tej wojnie jego najgroźniejszą bronią, to czemuż, o czemuż nie *myślał*?

Księżę światła, dobre sobie. W sercu mieścił teraz tylko ból, rozpacz i dojmującą pustkę. Wyruszał na kolejną wojnę z zemsty i złości, w

nadziei, że odwet cokolwiek uleczy. Ale wewnątrz czuł się już równie martwy, jak szeregi umarłych, które przyjdzie mu zwalczać.

Kamienice stawały się wyższe i dostojniejsze, przejeżdżali przez dzielnice najbogatszych mieszczan i ważnych urzędników królestwa. Najwyższe okna posypano płatkami róż; czerwone, migające wirujące punkty zatańczyły w powietrzu razem ze zmrożonymi płatkami śniegu.

Róże w zimie, jaką tajemniczą magię spotka jeszcze w Sheged Arad, jakie potężne czary zostaną niepotrzebnie zużyte na jego cześć?

Evalayn zwróciła ku niemu zjawiskowo piękną, uśmiechniętą twarz. Kilka płatków śniegu migotało w jej włosach i na końcówkach rzęs niczym diamenty.

— Cieszysz się, Kalladrionie? Witają cię jak bohatera...

— Nie jestem nim, Evalayn. Wiesz, że gdyby deszcz potrwał wtedy dzień dłużej, nekromanci ożywialiby właśnie mego trupa w czeluściach Dar Magoth.

— A lisz zamiast ciebie wkraczał do Sheged Arad — dodała natychmiast, jakby chcąc podkreślić jego zasługi, sprawić by zrozumiał, że wart jest tych pochwał, zasłużył na to przywitanie.

— Mówię ci, że to nie ja jestem bohaterem, a deszcz... O nim śpiewajcie pieśni. O chmarze kropli, która zmieniła historię. Swoją drogą, zastanawiająca rzecz. Zabawne, jak drobne, nic nieznaczące wydarzenia wpływają na bieg dziejów wszechświata.

Wtedy po raz pierwszy dobiegło do nich z tłumu:

— Lord Kalladrion, książę światła i Lady Evalayn, jego biała księżniczka!

— Chwała Pani światłości, Lady Evalayn!

Kobieta uśmiechnęła się przeuroczo i z niewymuszoną gracją pomachała ręką. Na ten gest ludzie odpowiedzieli rykiem zachwytu i serią kolejnych, jeszcze bardziej pochwalnych okrzyków.

— Nazywają cię białą księżniczką — w jego głosie zabrzmiały nuty rozdrażnienia. Źle się czuł z tym połączeniem, zły był na ludzi, że tak szybko zapomnieli, że jest wdowcem, mierziło go, że w jego uczucia wulgarnie próbuje ingerować plebs.

— To tylko twój blask mnie opromienia — odparowała gładko, jakby wszystko traktowała jak nieistotną grę. Zapewne była lepiej przyzwyczajona do hołdów tłumów i zmiennych nastrojów prostych ludzi.

Z nieba wciąż spływały róże i śnieg. Jakby dar bogów mieszał się z darem ludzi.

\*

Otrzymali najlepsze komnaty w zamku. Galain natychmiast rozstawił potrójne straże, oficjalnie — by ustrzec się przed zamachami nekromantów, w rzeczywistości w Sheged Arad wrogiem mógł być każdy, nawet król. Gdy służący wnosili ciężkie skrzynie, a dowódcy sprawdzali skuteczność wart, Kalladrion zastanawiał się, jak pokonać lisza. Na stole rozłożono mapy wschodu, niedokładne, schematyczne. Nawet położenie czarnej kropki, oznaczającej Dar Magoth zostało zaznaczone z pewnym marginesem błędu. Liczebności oraz rozmieszczenia wrogich wojsk oczywiście nie znali, tak jak nie potrafili odgadnąć, jaką mroczną magię może przeciwko nim rzucić Dagerath Val Kaldol. Jak pokonać taką potęgę? Choć wrzucał swój logiczny umysł na najwyższe obroty, za każdym razem jedynym wynikiem, jaki otrzymywał, było własne spojrzenie wbite w ścianę i wielkie rozczarowanie.

Może dlatego, że w obliczeniach przeszkadzało mu drugie pytanie, irracjonalnie nawracające, nasączone gniewem. Jak skutecznie zemścić się na kimś, kto już przeszedł za zasłonę śmierci?

Brakowało mu Anathela, który znał się na ciemnych sprawach i potrafiłby może przynajmniej wskazać kierunek, w którym należałoby szukać odpowiedzi. Ktoś jednak musiał pozostać w Askazaarze, by chronić granic i nadzorować przygotowania. Z szambelana Kalladrion nie mógł zrezygnować, gdyż talenty dyplomatyczne Galaina z pewnością okażą się przydatne w stolicy. Z kolei mag powiedział, że potrzebuje czasu i spokoju, by sprokurować lub też ulepszyć kilka mikstur, a podróż temu nie służy.

— Wspaniałe powitanie — w drzwiach komnaty stanął szambelan.

— Witano mnie jak bohatera. Z nieba spadały róże, mieszając się ze śniegiem — przypomniał sobie lord.

— Pamiętaj zatem panie, że róże mają kolce, a śnieg lubi gromadzić się w zasypy zdolne przysypać nieostrożnego podróżnika.

— Co masz na myśli?

— Po prostu przypominam, że tłum rzadko kiedy sam wie, co ma myśleć. Częściej jest tak, że ktoś podpowiada, dostarcza bodźców, w które wygodnie potem jest ubrać zbiorowe emocje.



— To znaczy?

— Ktoś zapłacił minstrelom i klakierom. Wygląda na to, że masz w Sheged Arad liczących się przyjaciół.

— Powiniennem się zatem cieszyć.

— Na to wygląda. Póki ten ktoś nie zapragnie pchnąć tłum w przeciwną ci stronę. Uważaj na siebie panie, zwłaszcza gdy nie znasz motywów ludzi, którzy cię otaczają.

— Nie jestem już takim dzieciakiem, jak wówczas, gdy przejmowałem władzę nad Askazaarem.

— Ale czy jesteś gotowy na to, co cię tutaj czeka? Jesteś gotowy na to, że już teraz osoby najwyraźniej ci życzliwe opowiedziały o okolicznościach śmierci Sallande de Loray, kreując was na męczenników i niemalże święte istoty?

Kalladrion wzburzył się.

— Nie mieli prawa... Mój ból...

— ...jest twoją prywatną sprawą? Władca nie ma prywatnych spraw, a męczeńska śmierć Sallande w wyniku zdrady nekromantów to znakomity motyw poruszający tłumy. Ktoś gra twoimi uczuciami dla celów politycznych, na szczęście dla twojej korzyści. Ktoś pomyślał, że bylibyśmy głupcami, nie rozgrywając tak silnej karty.

— Ktoś...

— Właśnie. Audiencję u Jego Wysokości masz zaplanowaną na jutro rano. Na de Viriona uważaj. Martwi mnie ta rozmowa. Król może okazać się znacznie gorszym przeciwnikiem niż lisz. W przypadku Dageratha wiemy przynajmniej, że pragnie nas zniszczyć, natomiast o motywach Jego Wysokości nie wiemy nic. Nie utrzymał się jednak na tronie tylko dlatego, że był miłym staruszkiem.

## X

Ogrody Sheged Arad rozpościerały się na ogromnej przestrzeni. Stolica, dzięki anomalii układów wiatrów, przynoszącym prądy powietrza z południa niemal nie znała prawdziwej zimy, a w osłoniętej murami miejskimi przestrzeni tworzącej specyficzny mikroklimat wszystko wcześniej kwitło. Rośliny, poddawane specjalnej troskliwej opiece dziesiątce ogrodników były dumą korony. Kalladrion zdziwił się, że de Virion wyznaczył mu spotkanie właśnie tam, a nie podczas oficjalnej audiencji w sali tronowej przy wszystkich możnowładcach. Długo łamał sobie głowę, co to może oznaczać. Prywatna audiencja to w żadnym wypadku wyraz lekceważenia, raczej zaszczyt. Jednak jak będzie przebiegać ta rozmowa — nie mógł odgadnąć, choć zastanawiał się nad tym cały czas, nawet teraz, spacerując szeroką wysypaną żwirkiem aleją pod wonnymi, dającymi cień piniami i cedrami o intensywnym, oszałamiającym zapachu. Prowadziło go dwóch uzbrojonych służących w szkarłatno-czarnej liberii. Wciąż myślał, co powinien powiedzieć i na jakie pytania być przygotowanym, gdy alejka doprowadziła go do polanki, a w zbudowanej z jasnego drewna altance dostrzegł kogoś w bogatych szatach, czytającego książkę. Nieznajomy nieśpiesznie uniósł wzrok i skupił świdrujące, czarne spojrzenie na Kalladrionie.

Hamodeneusz de Virion był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, ale o nadal potężnej sylwetce. Upływający czas nie zgiął go ku ziemi, ani nie odebrał jeszcze siły z mięśni. De Virion zdobył Tallendor z mieczem w dłoni i pierwsze lata spędził częściej w końskim siodle niż na tonie w Sheged Arad. Teraz był nadal w doskonałej formie i mógł choćby dzisiaj poprowadzić doborowe królewskie legiony do bitwy. Włosy osrebrzone wiekiem nosił obcięte krótko, górną wargę przyodzabiały siwe wąsy. Wbrew swoim oczekiwaniom, Kalladrion nie dostrzegł korony, co, jak po namyśle uznał, podkreślało nieoficjalny charakter spotkania.

— Wasza Wysokość — skłonił się lord.

— Witaj Kalladrionie, nareszcie mogę poznać bohatera spod Tagaris Hen — władca niecierpliwym gestem odprawił lokajów. — Jeżeli pozwolisz, przejdźmy się trochę i porozmawiajmy.

— To dla mnie zaszczyt.

— Jestem pod wrażeniem. Walka z nekromantami to podobno wyjątkowo ciężka przeprawa.

— Radziliśmy sobie jak mogliśmy... — skłonił się raz jeszcze.

Spacerowali między szeregami cyprysów, sterczących sztywno jak pikinierzy na warcie. Gdy delikatny wiatr poruszał gałązkami, z daleka ktoś mógłby przysiąc, że to setka roślinnych gejzerów eksplodowała spod ziemi.

— Wierz mi, potrafię ocenić takie rzeczy. Może nie wyglądam, ale jeszcze dziesięć lat temu zdarzało mi się brać udział w bitwach. A ty jesteś nie tylko utalentowanym dowódcą. Wiesz, że moja córka dużo mi o tobie opowiadała?

Czyli właściwie co, zastanowił się Kalladrión. Zastanawiał się, jak odpowiedzieć, równocześnie chłodno oceniając zachowanie króla. Hamodeneusz był dobroduszny, chciało się rzec — wylewny, traktował go jak starego przyjaciela, a nie nowego polityka w grze, o niejasnych jeszcze intencjach. Praktyka dyplomatyczna zalecała w takich przypadkach daleko idącą ostrożność a de Virion był przecież najwytrawniejszym z graczy. O co tu chodzi?

— Wasza Wysokość ma o mnie zbyt dobre mniemanie.

Wkroczyli między klomby oleandrów o delikatnych białych lub czerwonych płatkach, nad nimi wodospadami opadały kwiatostany bugenwilli, która zwisała na specjalnie przygotowanych drewnianych konstrukcjach, dając przyjemny cień.

— Ech, skromność młodych... Tymczasem nawet tłum cię pokochał. Obserwowałem wasz wjazd. Władca światła i jego biała księżniczka.

W głowie Kalladrióna zapaliło się ostrzegawcze światełko. Może o to chodzi? Stary jest zazdrosny o swoją pozycję? Nieraz zwycięzcy generałowie stracali z tronu królów. Odparł ostrożnie:

— Tłum niesiony emocjami robi głupstwa, których na szczęście nie będzie nazajutrz pamiętał.

— Czasami jednak lud widzi rzeczy zakryte przed wzrokiem możliwych.

— W tym jednak przypadku staliśmy się raczej ofiarami złego żartu.

Żwir chrzęścił pod ich stopami. De Virion spochmurniał i Kalladrión odniósł wrażenie, że nie spodobała mu się jego odpowiedź. Wreszcie król odezwał się, ważąc powoli słowa:

— Mam wrażenie, że próbujesz uciec od tego, kim jesteś.

— A kim jestem?

— Jesteś dzieckiem światła.

— Jestem ofiarą tysiącletniej bujdy, która ożyła w ludzkich sercach w czasach desperacji.

— Jeżeli zapytałbyś mnie Kalladrionie o prawdę, zawartą w starych przepowiedniach, odpowiedziałbym, to my mamy moc, aby zdecydować, czy staną się prawdziwe. Jest taka stara opowieść o bohaterze, który ratuje kraj przed smokiem i dostaje w zamian pół królestwa i rękę księżniczki. Może powiesz — stare bajania, które nianie opowiadają dzieciom. Jednak faktem jest, że uratowałeś już raz Tallendor, Kalladrionie. A teraz jesteś może jedyną osobą, która da radę dokonać tego po raz wtóry. Jeżeli ci się uda... Jesteś najbardziej wartościowym człowiekiem, jakiego poznałem — od wielu lat, a cechą królów jest przenikliwość w ocenianiu ludzi. Wierz mi, do tego jednego się nadajemy, inaczej żyjemy bardzo krótko — władca zaśmiał się. Ale gdy znów przemówił, jego czarne oczy patrzyły uważnie na Kalladriona — Sądzę, że jesteś również najbardziej wartościowym człowiekiem, jakiego spotkała ostatnio Evalayn. Bądź dla niej dobry. Nie chciałbym dzielić tego kraju na pół, ale tak się składa, że nie mam syna, więc to nie będzie konieczne. Rozumiesz? Bądź dla niej dobry.

De Virion wymówił ostatnie słowa z niezwykłym naciskiem.

Rozmowa toczyła się w nieoczekiwanym dla lorda kierunku. Musiał porozmawiać z Evalayn. Natychmiast.

Słoneczny blask raził oczy. Hamodeneusz zmienił temat:

— Moja córka wspominała mi, że uważasz, iż naszą jedyną szansą jest uderzyć na Dar Magoth i to jak najszybciej, zanim Dagerath Val Kaldol urośnie w siłę i stanie się niezwycięzony. Mój sztab doszedł do podobnego wniosku. Wysłaliśmy armię, słyszałeś co się z nią stało. Uteh Kor — de Virion skrzywił się, jakby właśnie połknął gorzki owoc. — Tak naprawdę straty w ludziach były... znacznie większe. Nie chcieliśmy, by do publicznej wiadomości dotarły rozmiary klęski. Przegraliśmy, Kalladrionie, i to mimo że zastosowaliśmy... właściwie skopiowaliśmy twoją taktykę spod Tagaris Hen. Przebroiliśmy legiony, przeszkoliliśmy na nowo, do stosowania innej broni; wiesz — królewski skarbiec pozwala na rzeczy, o których nawet nie mogłeś śnić, przygotowując tą swoją małą wojenkę. A jednak pod Uteh Kor lisz rozbił nasze wojska ekspedycyjne w pył. Umarli się może nie uczą, ale ich władcy tak i

potrafią nas zaskoczyć. Potrzebujemy nowych rozwiązań taktycznych, na dodatek wymyślanych na bieżąco na polu bitwy. Nasi generałowie, krótko mówiąc, zawiedli. Potrzebujemy ciebie.

Anemony i magnolie odsłaniały zjawiskowej urody kwiaty, wspaniale rozkwitał tamaryszek, z oddali wyglądając, jakby gałęzie pokryte miał wciąż puchowym śniegiem, tyle że o oryginalnej, różowej bądź fioletowej barwie. Upajająco pachniała lawenda, a rozmaryn ostro wiercił w nosie, sprawiając, że do ust napływała ślina na wspomnienie smaku dobrze przyprawionego mięsiwa.

— Problem w tym, żeby wszyscy magnaci zrozumieli, — kontynuował de Virion. — jak bardzo Tallendor cię potrzebuje. Pomogę ci z tymi wilkami z senatu. Musisz przekonać ich, że jesteś księciem światła, zdolnym rozgromić ciemność. Część publiki to moi ludzie, ale z resztą będziesz musiał jakoś sobie poradzić.

— Sądziłem, że wystarczy, by Wasza Wysokość wydał rozkaz i rycerze maszerują, gdzie im się każe.

— Bez poparcia wszystkich feudałów mogę dać ci trzy legiony, a nie największą armię, jaką może wystawić ten kraj. Senat będzie musiał mi udzielić specjalnych pełnomocnictw, inaczej mówiąc — cichą zgodę na pewien edykt. Musimy ich przekonać, nie stać nas na prowadzenie wojny wewnętrznej i zewnętrznej równocześnie.

Kalladrion poczuł igiełki niepokoju na dnie duszy. Czy de Virion pragnie go wykorzystać? Użyć mitu „księcia światła” do przekonania magnaterii, a następnie oddać dowodzenie komuś innemu? Nie ufał królowi, ale też nie przychodziło mu do głowy nic, co pozwoliłoby mu zabezpieczyć się na tę ewentualność.

— Przemowa w senacie to jeszcze nie koniec. Pozostali jeszcze feudałowie północno-wschodniej granicy. Będziesz potrzebował czegoś więcej niż poparcia, jeżeli chcemy wykorzystać te tereny jako bazę wypadową do kampanii przeciwko Dar Magoth. Wielu z nich walczyło i zginęło w bitwach z nekromantami, te ziemie są spustoszone, a grody spalone. Będziesz potrzebował czegoś więcej niż tłumy nazywającego cię księciem światła, by przekonać ludzi, którzy wczoraj przelewali krew, a ich rodziny zostały zamienione w chodzące zwłoki. Owszem, twoje czyny spod Tagaris Hen im imponują, ale czy to dość, by zmusić ich do jeszcze jednego wysiłku? Ja wysłałem zaproszenia do wszystkich liczących się władców północy, by zgromadzili się w twierdzy Amon Hel, jednej z

nielicznych warowni północy, które wytrzymały oblężenie. Ja mogę im wydać rozkaz, ale naprawdę ich serca będą należeć do nas, jeżeli ich przekonasz.

Jeżeli ich przekonam, mogą należeć do mnie, pomyślał Kalladrion.

\*

Ściany komnaty wymalowano śnieżną bielą. Na stoliczku w srebrnym flaconie o wydłużonej szyjce tkwiła róża o niezwykłych, ciemnogramatowych płatkach, wypełniająca swym zapachem i kolorem pomieszczenie.

— Podczas rozmowy z twoim ojcem nie mogłem odeprzeć bardzo silnego wrażenia, że on jest przekonany, iż jesteśmy razem. Dlaczego?

Odwróciła się ku niemu. Podczas podróży opaliła się nieco, wiosenne słońce grzało mocniej, im bardziej zbliżali się ku stolicy, teraz jej cera przybrała lekko oliwkową barwę. Nosiała przewiewną, ciemnogramatową suknię na ramiączkach z głębokim dekoltem, na szyi błyszczała kolia z rozchodzącymi się promieniście drobnymi szafirami. Przy najlżejszym poruszeniu smukłej szyi migotały srebrzyście podłużne kolczyki o skomplikowanym kształcie.

— Wychowano mnie na córkę królów odpowiedzialną za swój kraj i jego poddanych. Pokochałam swoją ojczyznę i rozumiem, że z władzą łączy się odpowiedzialność. Wiem też, że królestwu grozi zagłada, chyba że powstrzymasz nekromantów. Potrafię dostrzec, że tylko ty możesz nas uratować i nie mogę pozwolić, by przez tych, których natura nie obdarzyła tak dalekosiężnym wzrokiem, Tallendor przepadł w otchłani wiecznej nocy. Dlatego porozmawiałam z ojcem nieco koloryzując pewnej szczegóły dotyczące naszej relacji. To bardzo ułatwiło pewne sprawy, prawda?

Kalladrion skinął głową. Nie mógł oczekiwać, że de Virion odda najlepsze legiony Tallendoru obcemu człowiekowi. To był najśłabszy element jego planu. Nawet reputacja bohatera mogłaby się okazać niewystarczająca. Przygotowany był na długie polityczne podchody, ale liczył, że w najgorszym razie uda mu się ugrać wsparcie kilku legionów, może jakichś wojsk magnatów, świadomych powagi sytuacji.

Obcemu nie, ale przyszłemu zięciowi?

— Co będzie, gdy dowie się, że naprawdę nie jesteśmy razem? Wiesz, to król... Nie możemy go oszukiwać bez końca.

— Córka może... — uśmiechnęła się przebiegle, robiąc gest

nawijania czegoś na paluszek. — Gdy chodzi o córki, mężczyźni przestaną być królami, a stają się ojcami. Innymi słowy, ślepną. Więc nie dowie się, chyba, że jedno z nas mu powie. Ja będę milczeć, a ty?

— Ale Evalayn...

— Potrafię grać swoją rolę dla dobra królestwa, jeżeli o to ci chodzi. Potrafię się poświęcać... Chociaż... wolałabym nie — pojrzała na niego przeciągle spod przymrużonych rzęs.

Przełknął ślinę.

— Wiesz, że ja... Nie jestem jeszcze gotowy. To wszystko wydarzyło się zbyt nagle i...

Zaczął dukać nieporadnie i zdołała przerwać mu bez najmniejszego wysiłku.

— Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, co ostatnio przeżyłeś i jak bardzo kochałeś Sallande de Loray. Czasem los doświadcza nas niesłychanie okrutnie, ale czasem jest na tyle sprawiedliwy, że potem choć częściowo stara się wynagrodzić ból, którym nas obdarzył. Próbuję ci powiedzieć, że może po tych wszystkich ciemnych dniach zasłużyłeś wreszcie na odrobinę szczęścia. Nie bój się go nie sięgnąć. Nie uciekaj od tych kilku chwil radości, zwłaszcza że już wkrótce nikt na całym świecie może nie mieć szansy na szczęście. Nadciąga wieczna noc, zapomniałeś? A ty możesz być martwy, wraz z milionami innych ludzi. Cóż złego jest w tym, żeby przedtem poczuć odrobinę... — zawahała się. Popatrzyła mu prosto w oczy, wyraźnie zakłopotana. — miłości.

— Ty nie wiesz.... nie rozumiesz....

— Naprawdę sądzisz, że ona by pragnęła twojego cierpienia? Jeżeli Sallande patrzy na ciebie z innej strony istnienia, czy nie pragnęłaby, byś zaznał szczęścia?

— Nie mów tak — powiedział, ale słowa były celne i zapadły głęboko.

— Nie pozwól, by atak nekromantów na Askazaar zatruł dwie osoby. Byłoby szkoda, by naprzeciw armii zwłok dowodzonej przez wyklętych ludzkich czarnoksiężników stanęła armia ludzi, prowadzona przez nieświadome swej śmierci zwłoki. W tej chwili chorujesz na własne życzenie, zabijasz się w każdej sekundzie. Widzę przecież, że mnie pragniesz, problem w tym, że musisz zdecydować, czy bardziej nie pragniesz się niszczyć. Ja na ciebie czekam i jestem gotowa na wszystko, co niesiesz ze sobą, Kalladrionie z Askazaaru, dziecię światła z legend,

zdolne rozgromić poczwary mroku. Jestem córką królewskiego rodu de Virion i wierz mi, że gdy chcę, potrafię zrobić dla ukochanego wszystko i me poświęcenie nie ma granic. Jeżeli natomiast mnie odepchniesz, zniosę i to i w milczeniu będę trwała przy tobie dla świata, bo w odróżnieniu od ciebie przynajmniej wiem, kiedy rezygnacja ze szczęścia osobistego ma sens.

Odwróciła się gwałtownie, ale zdążył jeszcze zobaczyć błysk łez w jej oczach. Podszedł do niej. Jej plecami targały krótkie wstrząsy, których nie zdołała stłumić.

Łagodnie objął Evalayn. Zdumiało go, jaka jest delikatna i krucha. Obrócił dziewczynę ku sobie. Wiedziony impulsem, sam nie wiedząc, co robi, dotknął jej podbródka i uniósł lekko jej pochyloną głowę. Zobaczył zaczerwienione oczy, mokre policzki i zlepione w wilgotne kosmyki włosy. Zaczął scałowywać łzy z twarzy, najpierw powoli, potem coraz gwałtowniej, jakby pragnął wargami zetrzeć z niej cały ból, którego był sprawcą. Ich usta spotkały się i wpiły w siebie z natarczywym głodem. Zdumiało go, że zwykle przecież niedostępna, tym razem nie protestowała, poddając mu się miękko.

Dłoń sama wsunęła się w dekolt sukni i zamknęła na niewielkiej, ale prężnej piersi. Evalayn jęknęła cicho. Poczul sterczący z podniecenia sutek. Ścisnął mocniej, a dziewczyna jęknęła głęboko; wydawało się, że musi ją podtrzymywać drugim ramieniem, bo upadłaby. Ostrożnie pociągnął ją w kierunku sypialni i łóżka, a ona dała się poprowadzić.

Zerwał z niej gwałtownymi ruchami szaty, rozerwana suknia spoczęła na podłodze. Obsypał pocałunkami jej krągłe piersi, muskał palcami smukłą szyję, czując pod opuszkami pulsowanie niewielkich żyłek.

— Moja księżniczka... — szepnął, patrząc na jej piękną twarz, gdy po raz pierwszy w nią wchodził. Zaczął się powoli poruszać, trzymając jej twarz w dłoniach i cały czas spoglądając w oczy jak na najcudowniejszą rzecz na świecie, a przyjemność płynąca z lędźwi stopniowo rozlewała się po całym ciele i ogarniała go całego.

Evalayn pojękiwała cicho.

— Moja śliczna księżniczka...



## XI

— Przygotowałeś się do rozmowy z senatem?

— Staralem się... — odparł powoli. Ostatnie dni były dla niego bardzo trudne. Po nocy spędzonej z Evalayn satysfakcja mieszała się z wyrzutami sumienia, czuł się jakby robił coś niewłaściwego, jakby, choć komuś postronnemu mogłoby się to wydawać dziwaczne, jakby zdradzał Sallande. Tłumaczył się przed sobą, że był zmęczony, samotny i nieszczęśliwy, że potrzebował ukojenia bólu, pocieszenia, że pragnął tylko chwili radości, zapomnienia...

„Jeżeli odejdziesz, moja ukochana, mego smutku nie zetrze nawet tysiąc lat...”

Robak poczucia winy skutecznie psuł nastrój i wsączał w duszę jad czarnych myśli. Na domiar złego, choć pierwsza noc wydawała się wypełniona namiętnością, teraz coraz częściej się zastanawiał, czy nie pamiętał właściwie tylko własnego żaru i w zaślepieniu nie mylił go z pożądaniem dziewczyny. Bo kolejne zbliżenia wydawały się przebiegać coraz bardziej mechanicznie. Choć na pozór nic jej nie mógł zarzucić, czuł się, jakby Evalayn odgrywała perfekcyjnie przygotowaną rolę, ale nie wkładała w to serca.

— Staraleś się? — Evalayn tymczasem natarła na niego z niezwykłą dla niej furją. — Masz być przekonujący, do ciężkiej cholery!!! Zależy ci w ogóle na tej sprawie? Cokolwiek cię obchodzi?

— Wiesz, że tak!!!

— Nie, nie wiem. Brzmiałeś, jakby chodziło o wybór menu na dzisiejszą kolację.

— Nie rozumiesz... — odparł, a potem jakby pękła w nim jakaś tama, zaczął mówić coraz szybciej, z narastającą wściekłością. — Nie wiesz, jak to jest budzić się ze świadomością potwornej straty i wiedzą, że sprawca tego niewyobrażalnego nieszczęścia, Dagerath Val Kaldol, cieszy się wolnością. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, widzę podstępna twarz tego łotra Kahezaara vel'Serasha, który jadał przy moim stole i korzystał z mojej gościnności. Brzydzą się sam przed sobą tortur, na które skazuje go w każdym uderzeniu serca moja wyobraźnia. Ty mówisz, że nie jestem zaangażowany w tę wojnę? Ja, który wszystko straciłem, któremu

tylko ta wojna pozostała?

Patrzyła na niego w milczeniu. Jej twarz pozostawała nieodgadniona.

— Czasami myślę, że jedyne, co trzyma mnie przy życiu, to nadzieja na ujrzenie śmierci nekromanty.

— Doskonale — rzekła chłodno. — Wzbudziłeś w sobie ogień, który podpalił ich serca. Teraz tylko się zastanów, co chcesz im powiedzieć?

— Słucham?

— Emocje, które im przekażesz, są w porządku. Sama poczułam, jak coś wewnątrz mnie szarpnęło, jakby odpadała właśnie część serca. Ale nie zamierzasz chyba przekonywać najbardziej wpływowe osoby w państwie, by oddały olbrzymią armię w ręce człowieka, kierującego się osobistymi pobudkami, które ktoś nieżyczliwy mógłby uznać za niskie i chore. Powtarzam, przekazałeś żar, ale słowa będą brzmiały na forum jak bredzenie szaleńca albo gorzej — żalącego się dziecka. A ty musisz nade wszystko przekonać ich o swojej odpowiedzialności i opanowaniu.

Patrzył na nią wytrącony z równowagi.

— Ej, to nic trudnego. Musisz tylko przekształcić osobiste uczucia w formę możliwą do zaakceptowania przez wszystkich. Tak naprawdę robimy to odruchowo każdego dnia. Ukrywamy prawdziwych siebie, malując przed oczami innych obraz będący wygodną dla wszystkich iluzją. Zakładamy pozory niczym ubranie, osłaniamy się kłamstwem niczym maską, jedyne zwierzęta w przyrodzie przerażone nagością.

Pocierał nerwowo palcami skronie. Czuł, że choć jej słowa wydawały się brutalne, głupotą byłoby odwrócić od nich uwagę. Tymczasem Evalayn, jakby nic się nie wydarzyło, wyjęła z szuflady komody plik kartek. Podeszła kołysząc biodrami. Podziwiał wystudiowaną grację ruchów dziewczyny, był pod wrażeniem jej pełnego słodyczy powabu.

— Rozmawiałam z papą — mówiła z wyraźnym arystokratycznym akcentem, starannie modulując głoski — Przewodniczący senatu jest po naszej stronie, w razie większych problemów pośpieszy ci z odsieczą. To on decyduje również, kto może zadać pytania i w jakiej kolejności. Na pierwszych czterech arkuszach masz listę proponowanych pytań oraz nasze sugestie odpowiedzi. Zadbamy, by zadali je nasi ludzie ze wszystkich ważniejszych stronnictw. Trochę to kosztowało, ale tatuś uważa, że efekt powinien być tego warty. Zresztą jak powiedział: i tak ich

opłacam, niech się na coś przydadzą. Wszystko w porządku? Patrzysz jakoś dziwnie... A, jakbyś miał własne pytania, proszę nie krępuj się, dopisz, możesz też skreślić te, które twoim zdaniem są zbyt ryzykowne lub trudne. Tym niemniej i tak nie unikniemy tych najtrudniejszych, więc lepiej naprawdę, żeby zadali je nasi ludzie, wtedy wszystko będzie pod kontrolą, oni szybko usiądą przekonani i nie będą drażnić, a drugi raz nikt ci tego samego pytania nie zada. Dlatego lepiej nie skreślaj, ucz się skryptów, opracowały je najtęższe umysły wśród doradców papy.

— Mówiłaś, że lista pytających jest kontrolowana przez przewodniczącego... W takim razie czy możemy być zaskoczeni niewygodnymi pytaniami?

— Przewodniczący ma pewne pole manewru, ale raczej nie chcielibyśmy, by odmówił możliwości zadania pytań wpływowym szefom stronnictw, a nie wszyscy siedzą w naszej kieszeni. Wygramy tylko, jeżeli stworzymy znakomicie wyreżyserowany spektakl, ale nie farsę, na miłość bogów! Ostatnie trzy kartki zawierają listę prawdopodobnych pytań wraz z wariantami odpowiedzi, jednak tutaj jesteś zdany w dużej mierze na własne siły.

Poprawiła szybkim ruchem ręki kosmyk włosów spadający na czoło, błyskając przy tym szmaragdami bransoletki.

— Zwróć uwagę, chociaż to ekspedycja ofensywna mając na celu zniszczenie Dar Magoth, w stosownej sytuacji nie używamy słowa „atak”, tylko „obrona ojczyzny”. Stratedzy papy prosili, byś zapoznał się z wszystkimi językowymi niuansami i sugestiami leksykalnymi. Ostatnia sprawa — nie wspomniałeś o tym, jak daleko sięgają korzenie twego znakomitego rodu, a to bardzo ciekawa historia, na szczęście przypadkiem odnaleziona przez królewskich kronikarzy i heraldyków. Nic nie mówiłeś, że twoi znakomici przodkowie wraz z pierwszymi de Virionami tworzyli podwaliny państwowości. Przypomnij sobie zamierzchłe dzieje, znajdziesz je w środkowych arkuszach, na przyjęciach z pewnością będą pytać o koligacje narzeczonego córki króla. Teraz muszę cię zostawić, byś mógł w spokoju wszystko przeanalizować. W razie pytań — wiesz, gdzie mnie szukać.

Evalayn wyszła, zostawiając po sobie zapach subtelnych, drogocennych perfum. Kalladrion spoglądał tępo na wręczone mu arkusze. Myśłami błądził gdzie indziej. Oto, choć nie wprost, będzie jednak musiał wykorzystać osobistą tragedię, by przekonać senatorów

do udzielenia mu poparcia. Wiedział, że śmierć Sallande niosła pewne implikacje polityczne, rozumiał, że prędzej czy później zostanie użyta przeciwko niemu lub też zgodnie z jego celami. Miał świadomość, że została już raz wykorzystana przez jego, najwyraźniej, sojuszników i wówczas nie zdobył się na żaden gest, by zaprotestować. Teraz jednak będzie musiał tego dokonać sam, z pełną świadomością manipulacji. W polityce nie ma najwyraźniej łatwych wyborów, a nikt nie może sobie pozwolić na luksus życia osobistego.

Przepraszam, Sallande. Jeżeli tego nie zrobię, myślał, ukrywając twarz w dłoniach, jeżeli nie wykorzystam wszystkich dostępnych możliwości, nie będę mógł cię pomścić. Osoba, która tak straszliwie cię skrzywdziła, będzie bezkarna, a świat... świat pograży się w wiecznym mroku.

Na ile się łudzimy w życiu, że możemy podejmować jakiekolwiek decyzje? Bo przecież — czy rzeczywiście mam jakiś wybór?

A jednak trzymając plik kartek z rozpisаныmi kwestiami bardziej niż kiedykolwiek czuł się jak marionetka. Skoro jednak cele jego i lalkarza są najwyraźniej zbieżne, czemu by nie dać się poprowadzić? Zwłaszcza, że sznurki prowadzą go najdogodniejszą trasą, a najmniejszy błąd w wyznaczaniu marszruty może skończyć się upadkiem w przepaść.

Jednak późnym popołudniem, gdy zebrał się senat, a on wszedł na mównicę jak ogłuszony, słysząc krew tętniącą w uszach i bijące nieregularnie serce, okazało się, że jest wdzięczny za napisane wcześniej odpowiedzi. Okazało się znów, że musi toczyć bitwę, tylko tym razem na słowa, i ponownie bez żadnego doświadczenia. Wszystko, jak zwykle, zależało tylko od jego umiejętności taktycznych, lecz teraz figury na planszy będzie rozstawiał nie rozkazami, ale zręcznymi retorycznymi manipulacjami. Odpowiedzialność za efekt, od którego zależał los milionów, zalała go lodowatą strugą, a skórę zrosił mu pot; wreszcie poczuł, jak myśli się mącą, jakby lęk potrafił krystalizować się w zapychającą wszystko gęstą mgłę.

Przecież przygotował sobie wszystkie warianty, przemyślał możliwe riposty. Teraz pozostawało tylko puścić maszynę w ruch, zamiast dywizji używając słów, a za posiłki mając plik kartek.

Popatrzył na odzianych w czerwone togi senatorów siedzących w coraz wyżej ułożonych rzędach, w półkolu, wpatrujących się w niecodziennego gościa. Za nimi, w cieniach kolumnady pod arkadowymi

łukami, rozpostarto na ścianach batystowe materie z barwami i godłami najznamienitszych rodów Tallendoru. Szmary ucichły, a przewodniczący zastukał laską o skomplikowanym kształcie, z gałką ozdobioną czarnym, szlachetnym kamieniem. Obrady prowadził starszy mężczyzna o siwej brodzie wystrzyżonej w trzy chybotliwe kosmyki, na toge zarzucił czerwony płaszcz ze spiczastym, wysokim kapturem z wycięciami na oczy i odsłaniającym dół twarzy. Lord zatrzymał chwilę spojrzenie na policzkach tamtego, w które jak w tkaninę wszyto z każdej strony po trzy perły. Przewodniczący w kilku słowach przedstawił Kalladriona i oddał mu głos.

W tych murach ważyły się losy świata.

Bolał go brzuch. Nieprzyjemnie i głucho, jakby ktoś nadepnął żołądek piętą i tak trzymał, czasami dla zabawy zwiększając nacisk. Zacerpnął powietrza w płuca, przygotowując się do przemówienia i z przerażeniem uświadomił sobie, że gardło wyschło mu na wiór, a znudzeni oczekiwaniem możni zaczynają szeptać. Czy już stracił najważniejszy moment, by przyciągnąć ich uwagę? Może wahając się, już przegrał?

Poczucie klęski paradoksalnie uwolniło go od odpowiedzialności, skoro już wszystko przepadło, to co za różnica... Słowa, gwałtownie uwolnione, popłynęły wartkim strumieniem:

— Dostojni senatorowie, najwięksi mężowie Tallendoru. Znacie moją historię. Wiecie więc doskonale, że nie jestem bohaterem. Los zmusił mnie, bym chwycił za oręż i bronił tego, co jest mi drogie. Wbrew temu, co mogliście o mnie usłyszeć, nie jestem tryumfатorem. Jestem człowiekiem, którego dom został zniszczony podczas wojny. Doświadczyłem niewyobrażalnego bólu i teraz jedyne czego pragnę, to ochronić niewinnych ludzi przed podobnym losem. Jeżeli uczynicie mi ten zaszczyt i pozwolicie poprowadzić armię do obrony Tallendoru, przysięgam, że zrobię wszystko, by żaden więcej dom nie spłonął i żadna rodzina nie płakała po żonach i dzieciach wymordowanych przez nekromantów.

Zacerpnął oddech po raz kolejny.

— Nie proszę o to dla siebie. Jestem spokojnym człowiekiem, nie pragnącym chwały. Jednak ciemność nadciąga! Wielki mag Dagerath Val Kaldol przeszedł na stronę śmierci i odrodził się jako lisz, władający niewyobrażalną potęgą. Raz już się z nim zmierzyliśmy i już wówczas

zagony nieumarych były widoczne z najwyższej wieży Sheged Arad. Siła oręża, męstwo i poświęcenie naszych ludzi odeгнаło zagrożenie od stolicy i uniknęliśmy zagłady, ale nie ujmując zasług poległym — prawdą jest, że wówczas szczęście nam sprzyjało. Drugi raz bądźmy jednak mądrzejsi i nie kładźmy tak niefrasobliwie naszych szans na wadze losu.

Dobrze, pomyślał, idzie mi dobrze. Tylko tak dalej, nie podkreślaj swoich zasług, mów o zwykłym rycerzu, to senatorowie korony, do cholery, z pewnością wiedzą, co zrobiłeś. Przypomnij za to, jak blisko wróg poszedł pod stolicę, błahostka, że zajął cały północny wschód, i tak tam nigdy nie byli, ważne, by wzbudzić sytuację bezpośredniego zagrożenia, przypomnieć dni trwogi, gdy wojenne okrzyki pobrzmiwały niemal tuż z murami.

— ...Ciemność nadciąga i zagłada jest bliżej niż kiedykolwiek, ale tym razem możemy być przygotowani! Czeka nas czas najwyższego poświęcenia, ale w naszej mocy jest sprawić, by była to ofiara ostatnia i by nasze dzieci czekała przyszłość wolna od zła!

Miał wrażenie, że jego świadomość rozproszyła się wraz ze słowami po całej sali, dotykał nią umysłów słuchaczy i obierał ich emocje. Nie było już miejsca na lęk, bo zanurzył się w zadaniu, teraźniejszej chwili absorbującej całą jego uwagę. Czuł, że szeptury urywają się, ludzie milkną, powoli całe audytorium skupia się tylko na tym, co ma do przekazania, a na twarzach dostojników malują się coraz wyraźniejsze emocje.

— ...dlatego obiecuję wszelkimi siłami bronić mego kraju i proszę o pełnomocnictwa do sformowania i przydzielenia mi w waszym imieniu dowództwa nad największą armią w dziejach Tallendoru!

## XII

Kalladrion przekonał senatorów i korona wkrótce miała wystawić potężną armię. Na razie ustalono, że lord na czele swojego orszaku i siedmiu doborowych królewskich legionów uda się na północ, osłaniany cały czas magią podróżujących z nim najpotężniejszych czarnoksiężników. W tym samym czasie, gdy lord i księżniczka dotrą do miasta tysiąca wież, gdzie trzeba będzie przekonać wyczerpanych lordów północy do jeszcze jednego wysiłku, Galain w stolicy przeszkoli i uformuje przesłane z całego kraju posiłki w solidnie wyposażoną armię. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przed latem w kierunku Dar Magoth powinny ruszyć trzy potęgi. Z południa Anathel, prowadzący rdzeń sił Askzaaru oraz wszystkich lordów pogranicza, którzy się przyłączyli do walki z nekromantami. Spod Sheged Arad — szambelan pociągnie za sobą wojska powołane nowym edyktem Hamodeneusza de Virion, składające się w znacznej mierze z prywatnych oddziałów senatorskich, wreszcie Kalladrion i władcy północy wspólnie uderzą spod Amon Hel.

Przygotowania do kolejnej wyprawy, tym razem w kierunku opanowanych przez nekromantów ziem, napawały ich niepokojem. Kalladrion w ponurym milczeniu studiował niekompletne mapy rubieży, a Evalay dobierała suknie i płaszcze z takim pietyzmem, jakby chodziło o wybór zbroi.

— Moi dalecy kuzyni mają wspaniałą posiadłość na południowo zachodnich rubieżach Tallendoru — rzekła, przerywając na moment przegląd szaf. — Kasselen będzie tam bezpieczny do końca wojny. Wszystko przygotowałam do wyprawy, wysłałam też stosowne listy.

— Kasselen jedzie z nami do Amon Hel — odparł lord krótko.

— Kalladrionie, kochanie, chyba oszalałeś... Protestowałam przeciw zmuszaniu dziecka do podróży w takich warunkach, ale przekonało mnie, że nasza podróż wiedzie na zachód, dalej od wojny, a Askazzar jest położony zbyt blisko granicy i prędzej czy później należałoby stamtąd zabrać Kasselena. Jednak jako kobieta nie mogę dłużej milczeć. Pragniesz zabrać syna z powrotem w paszczę niebezpieczeństwa, na wyprawę, która choć zaczyna się jako dyplomatyczna, tak naprawdę wkrótce przekształci w wojenną. Wszyscy bogowie, sama podróż na taką

odległość, gdy w każdej chwili wszystko może się zdarzyć, jest szaleństwem... Nekromanci są podstępni i obawiam się, że mimo, że będą chcieli zrobić wszystko, byś nie przemówił przed feudałami w Amon Hel. Zarówno po drodze, jak i w samej fortecy tysiąca wież możemy spodziewać się najbardziej przemyślnych pułapek. By cię dostać, użyją zdrady, skrytobójstwa i czarnej magii. Nawet jak nie dostaną nas w Amon Hel... Jak zamierzasz ochronić dziecko podczas bitwy, gdy bojowe gazy nekromantów będą zatruwać powietrze i mieszać z ognistymi pociskami z twoich katapult?

— To moja sprawa...

Przerwała mu. Ostro i bezceremonialnie. Mówiła szybko, wymachując rękoma, z temperamentem, który zawsze wzbudzał w nim podziw:

— Jako kobieta nie mogę beczynnie stać i patrzeć, jak bezrozumne przywiązanie do tego dziecka przesłania ci zdrowy rozsądek, i co za tym idzie, właśnie dobro Kasselena. Moja rodzina to porządni ludzie i żyłby jak w raju, dopóki nie wróciłbyś szczęśliwie z ruin Dar Magoth. Ale ty chcesz go zabrać do piekła. Nawet ja jadę z tobą tylko do Amon Hel, gdzie będziesz potrzebował kobiety u boku, by zrobić odpowiednie wrażenie. Jestem twoją białą księżniczką, pamiętasz? Potem udam się w bezpieczne miejsce, nie dla tego, że cię nie kocham Kalladrionie, ale dlatego, że wiem, gdzie znajduje się miejsce kobiet i dzieci podczas wojny. Dobrze usłyszałeś Kalladrionie, i dzieci. Twoje nasienie, które zostawiłeś we mnie, wydało owoce. Będziemy mieli dziecko.

\*

Dwór Amon Hel zwano miastem tysiąca wież, i oczywiście była w tym pewna przesada, gdyż wybudowano ich raptem parę setek, za to wysokich tak, jakby blanki miały drapać niebo, a na szpice wieńczące stożkowate dachy nadziewać się mogły gwiazdy. Kalladrionowi przypomniły się niegdysiejsze wędrówki do Tal Marion, tyle że teraz nie wspinał się po schodach wijących się nad otchłanią, ale pokonywał kolejne klatki schodowe, w drodze do przyznanych im wspaniałych apartamentów z widokiem ponad chmurami. Służba dźwigająca ciężkie skrzynie, głównie z szatami i precjozami Evalayn, upodabniała ich do całkiem sporej karawany, tylko że nie zdobywającej górskich szczytów, ale marmurowe podesty ozdobione mozaiką, nie pokonującej usypujących się zboczy, ale przecinające kolejne partie dębowych bądź



kamiennych stopni. I tu jednak mogły zdarzyć się wypadki. Służba dźwigająca bagaże musiała być zmęczona po całym dniu drogi, zawiodła koordynacja ruchów, może zwykłe skupienie uwagi. Lokaj idący z tyłu pomylił krok, nie znalazł oparcia na stopniu, moment utraty równowagi zaowocował wypuszczeniem ciężkiej skrzyni z rąk. Nie było szans, by zaskoczony przedni tragarz mógł zapobiec katastrofie, grawitacja bezlitośnie wydarła mu ciężar z dłoni i rzuciła w dół, uderzając bagażem o stopnie, poręcze i ściany. Zatrzymała się dopiero na piętrze niżej paskudnie roztrzaskana. Między pękniętymi okuciami i rozczepionymi deskami zaczęły się przesączać jakieś płyny. Kalladrion spoglądając w dół, usłyszał za plecami ciche, ale dosadne przekleństwo Evalayn. Pojął, że w przenoszonej skrzyni znajdowały się perfumy i dekokty upiększające wartę niemałą fortunę i zapewne trudne do zdobycia.

Służba zareagowała, jakby ją oblać ukropem. Większość rzuciła się, by naprawić szkody, wydelegowano zarządcę, który zaczął przeproszać księżniczkę, ale nawet nie raczyła mu poświęcić sekundy uwagi. Sytuacji nie uratował Alcyfiades, kosmata kulka mająca dar pojawiania się nie wiadomo skąd. Teraz wyrwał się z ramion damy dworu, i pomimo zaniepokojonego okrzyku Evalayn rzucił się na złamanie karku w dół schodów, płacząc przy tym między nogami kolejnych tragarzy, który podjęli wspinaczkę. Lokaje dokonywali cudów, by nie podeptać psiaka i równocześnie utrzymać równowagę, przez chwilę zdawało się, że kolejna skrzynia podzieli los pierwszej.

Podczas gdy służba dokonywała cudów akrobacji i wreszcie opanowała sytuację, Alcyfiades obwąchiwał w najlepsze rozbitą kufer. Najpierw chwycił w zęby kawałek aksamitnego materiału, pociągnął, a gdy tkanina nie puściła, zaczął warczeć i się szarpać z nią, kołysząc głową śmiesznie na boki. Gdy Kalladrion spojrział kątem oka na księżniczkę i zobaczył jej poczerwieniałą twarz, zrozumiał, że kobiecie najwyraźniej do śmiechu nie było; zapewne wydobywany na światło dzienne kawałek odzieży był częścią bielizny.

Tymczasem Alcyfiades nie zakończył jeszcze psot na dzisiejszy wieczór. Uznał, że zachowująca się biernie nocna koszula nie jest najwyraźniej godnym go przeciwnikiem, i na powrót zaczął obwąchiwać skrzynię. Wreszcie zamarł, z nosem uniesionym nieruchomo, jakby natrafił na niezwykle interesującą woń i zaczął pośpiesznie spijać ciecz, która wypływając z wielu rozbitych flakonów, zdołała uczynić już

niewielką kałużę.

— Alcyfiades! — krzyk Evalayn, niczym łądunek niesiony przez błyskawicę, zelektryzował powietrze. Księżniczka, najwyraźniej mając dość pokazów, zstąpiła dwa stopnie w dół. Psina widząc zbliżającą się panią, szczeknęła i pomknęła radośnie jej na spotkanie.

— Pierwszy raz widzę, żeby zwierze tak piło perfumy... — rzekł Kalladrion. — dawałaś mu czasem wcześniej wino?

Psina, im bliżej była pani, tym mniej radośnie biegła, zapewne najwidoczniej przyszło jej do głowy, że coś zbroiła i bliskie spotkanie może nie należeć do najprzyjemniejszych. Alcyfiades zwolnił, a kilka kroków od księżniczki najwyraźniej był już tak speszony, że nogi mu się omsknęły ze stopnia i omal nie powtórzył wyczynu skrzyni, ostatkiem sił w pazurach ratując się przed sturlaniem na sam dół. Oszołomiony wydarzeniami, chybotliwym krokiem podreptał na komnaty. Śmiejąc się Kalladrion podążył za nim, wraz z Evalayn, nadal wyraźnie wściekłą — i służbą, która wreszcie wniosła resztę rzeczy. Świadectwem wydarzeń pozostał tylko bałagan piętro niżej, ale już pośpiesznie sprzątany przez przerażoną gniewną miną pani służbę.

— Kalladrion, kochanie, jestem niezwykle zmęczona po podróży. Zostawisz mnie na chwilę samą, bym mogła dojść do siebie? Zresztą żaden ze mnie towarzysz. Spójrz, wyglądam jak potwór — Evalayn stanęła przed lustrem w złoconej oprawie wielkości połowy człowieka i czesała swoje piękne, lśniące pukle.

— Wyglądasz jak zwykle cudownie, najśłodsza. Zaraz cię zostawię, pozwól tylko, że wyjmę pewne arcyważne dokumenty z tych oto skrzyń. Byłoby dobrze, gdybym jeszcze dzisiaj się zapoznał z choćby dziesiątą ich częścią, jeżeli mamy wygrać tę wojnę.

— Służba może zanieść skrzynie do twojej komnaty.

— Tak są przy tym zmęczeni, że po drodze ją zrzucą z wysokości dziesięciu pięter. Jak nawet obejdzie się bez wypadków, postawią w najdalszym kącie i spędzę godzinę próbując ją odnaleźć wśród pięćdziesięciu innych, zawierających dary stronników twojego ojca. Nie, jak już ją dopadłem, nie odpuszczę... — Przykucnął przed skrzynią, zaczął szarpać się z wiekiem, wreszcie zatonał w morzu papierów, gdy wtem Evalayn odezwała się głosem tak dziwnym, że choć był cichy jak szept, zdołała przykuć jego uwagę.

— Zabawne, jak drobne, nic nieznaczące wydarzenia wpływają na

bieg dziejów wszechświata.

Odwrócił się powoli. Twarz miała bladą, oczy zwrócone gdzieś w przestrzeń, błysnął kosztowny grzebyk, którym bawiła się bez zainteresowania między palcami. W pierwszej chwili poczuł impuls, by dopytać co ma na myśli, jednak był już zmęczony i pragnął tylko wydostać potrzebne dokumenty i udając samemu przed sobą, że je przegląda, położyć się spać.

Wreszcie zakrzyknął tryumfalnie, trzymając w garści plik kartek, niewiele na pierwszy rzut oka nie różniących się od innych. Już miał ruszyć w kierunku wyjścia, gdy spojrzenie chaotycznie obiegające komnatę natknęło się na dziwnie wyglądającą plamę na posadce.

— Alcyfiadesa chyba za bardzo wytrzęsło podczas podróży. Zwrócić kolację — powiedział lekko. — Gdzie on jest?

Rozejrzał się. Pies leżał po ścianą, częściowo ukryty za kotarą, bezwładnie jak szmaciana lalka. Pysk miał otwarty, oddychał ciężko, jakby rozpaczliwie próbując złapać powietrze. Język miał wywalony, zwisający nieruchomo między zębami i kładący się końcem na marmurowej podłodze. Obok opuchniętego ozora ślina mieszała się z kolejną plamą rzygowin.

Evalayn stała nieruchomo, blada niczym posąg. Popatrzył na nią szeroko otwartymi, nic nierozumiejącymi oczami. Mówiła, znów spoglądając w lustro i poprawiając machinalnymi gestami fryzurę:

— Nawiązując do pewnej naszej rozmowy... Powiedzmy, że ty sprostałeś pewnym moim standardom i nawet nie musiałam ich obniżyć. Pozostała właściwie tylko jedna kwestia.

Kalladrion stał jak uderzony obuchem. Miał wrażenie, że wszystko wokół działa się w jakiejś oddali, wszystkie bodźce były jakby zamazane i nieostre. Tylko zapach fiołków, początkowo słaby, coraz intensywniej wypełniał pomieszczenie.

— Wpuściłem truciciela do mojego zamku. Wpuściłem jadamistrza do mojego domu — powtarzał sztywno niczym maszyna.

— Proszę cię, Kalladrionie... daruj sobie te niegodne władcy sentymenty. Oboje wiemy, że świat nie przetrwa bez sojuszu córki króla z najzdolniejszym dowódcą. Nazywają cię księciem światła, zapomniałeś? A ja jestem twoją białą księżniczką. Sam powiedziałaś, że w życiu trzeba postępować boleśnie praktycznie, odkładając na bok uczucia i marzenia, na rzecz chłodnej kalkulacji zysków i strat, nawet

jeśli czasem przyjdzie nam robić rzeczy, na które nie mamy ochoty, a nawet które są wbrew temu, z czego składa się nasza dusza. Czy to nie twoje słowa, że życie jest twarde, i by coś w nim osiągnąć, trzeba być jeszcze twardszym, a emocje nie pomagają w osiągnięciu wygranej? Nie są istotne, gdy przychodzi obliczać polityczne posunięcia, zawiązywać sojusze i zawierać pakt. Czasami trzeba wiele poświęcić, żeby osiągnąć cel, tak to brzmiało? Zatem ty swój cel osiągnąłeś, Kalladronie, bądź więc łaskaw użyć kąpieli i czekam na ciebie wieczorem w sali jadalnej, gdzie książę światła i biała księżniczka muszą przekonać władcę Amon Hel i jego wasali do pewnej bardzo ważnej sprawy. Musimy wypocząć oboje, więc wybac, udaję się na spoczynek do sypialni. Gdy ochłoniesz, możesz się do mnie przyłączyć, nie wcześniej.

Sztywno jak posąg albo figura szachowa przesunęła się w kierunku położonych głębiej prywatnych apartamentów, prowadzących zapewne do alkowy. Kalladron został sam w komnacie, tylko on i śmierć, która zabrała psa.

\*

Księżyc wyjrzał zza chmur i przebijając srebrzystym snopem czerń nocy wydobył stojącą w oknie jednej z wielu wysokich wież samotną sylwetkę mężczyzny, trzymającą w ramionach maleńkie dziecko.

Śpij, śpij spokojnie, dziecię światła  
Już niedługo został czas wypoczynku  
Jutro przyjdzie ci zadziwić świat swoją mocą  
Dziś przymknij oczęta i spokojnie śpij.

Ener, Eneri tal kaletu ladonn  
Deri vadul einen hakan  
Rodon kaless entire es mallwerion  
Sattum soli deber vi tal eneri

# Spis treści

Strona tytułowa

Część I/ Księżniczka z księżycowego zamku

I

II

III

IV

V

VI

VII

Część II/ Dziecię światła, dziecko ciemności

VIII

IX

X

XI

XII